Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 25 zł.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

ST. TAZBIR — Czytelnictwo
Z. HIEROWSKI — Teatr czesko-słowacki
WŁ. MACHEJEK — Tematy reportażu
R. ZIMAND — Krytyka i publicystyka
K. DĘBNICKI — Na konkurs „Wsi"
L. GOLIŃSKI — — Pokaż sojusz
E. NIZIURSKI — Próba charakterów
ST. MĘDELSKI — Czy powieść proletariacka
N. HIKMET — Pada śnieg
M. WIELGUS — „Międzynarodówka zdrajców"

Rok VII Warszawa, dn. 30 IV. 1950 r. Nr 17 (248)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CW 9037

PIÓRKOWSKI JERZY

OJCOWIE BUDOWY SOCJALIZMU

Wincenty Pstrowski

I

Dużo się u nas ostatnio mówi i pisze o potrzebie, naglącej potrzebie wychylenia się ludzi pióra poza mieszczańskie rogatki.

Perspektywa odsłania się jasna: pisarz pochodzący z klasy mieszczańskiej ma tylko dwie drogi do wyboru: trudniejszą, nieraz bolesną: mozolne karczowanie starych, wstecznych, oportunistycznych nawyków, drogę wymagającą z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień niemal pogłębiającej się świadomości wspólnoty nierozerwalnej z idącą dzisiaj szturmowym krokiem klasą robotniczą. I drugą łatwiejszą: odwrócenia się do tej klasy, do mas ludowych plecami. Trzeciej drogi nie ma i nie będzie.

Chciałbym powiedzieć o tym kilka słów od siebie: tak się szczęśliwie składało, iż rok rocznie, począwszy od roku 1946-go spędzałem pewien okres na wyprawach w tak zwany „teren". Dzisiaj, gdy spoglądam za siebie wstecz, mam o tym wyraźnie wyrobione zdanie.

Ogarnia mnie uczucie skąpca, któremu w półśnie przeciekały przez ręce drogocenne kamienie, a on ich nie dostrzegł, nie uchwycił, nie zatrzymał.

Patrzyłem okiem zaszokowanego drobnomieszczańskiego biesa. Ludzie zwycięskiej klasy w moim pisarskim polu widzenia jak cienie chodzili po dalekim horyzoncie. Wszystko zalewał, w gruncie rzeczy wydmuchany, sztuczny, pełen barokowych floresów — opis. Do tego dochodziła szczypta jurności młodzieńczej i nie uporządkowanej, często wprost chaotycznie wydatkowanej energii twórczej. Tak było na wybrzeżu, tak było i w hucie „Pokój" w Nowym Bytomiu, tak było i przy moście Poniatowskiego.

Niezrozumienie klasy robotniczej rodziło i pisarski lęk i niezaradność. Stąd krok tylko dzielił od tchórzostwa. I dezerterowałem, wykręcałem się sianem, podobnie jak dezerterowała w przeważającej części, jak wykręcała się sianem klasa, która mnie wydała.

W następnym roku przyszedł Pstrowski. Pamiętam, mało tego, do dzisiejszego dnia chowam uczucie rażącej, przeogromnej winy wobec tego człowieka. Oto odkrywała się przede mną wielka, tytułowa bodajże karta historii socjalizmu w naszym kraju. Byłem przy tych narodzinach i znowu ślepota ideologiczna przesłoniła mi wzrok.

Gdy dzisiaj przeglądam te skąpe i nieporadne kartki, jakie wówczas zapisałem o nim, znowu pełne naskórkowej obserwacji, czuję się z kolei jak człowiek, któremu zaufano i złożono w ręce skarb, a on go lekkomyślnie roztrwonił.

I znowu rok następny: od Zgorzelca po Lesko gadałem i żyłem przez bez mała półtora miesiąca z ludźmi, którzy wiele doprawdy krwawego trudu włożyli w dzieło utrwalenia dyktatury proletariatu. Widziałem wielokrotnie mogiły zabitych, ich smutne żony, popalone chałupy. Uczyłem się od nich prawdy o walce klasowej.

Poznawałem ohydę i zbrodniczość imperialistycznych knowań nie tylko ze szpalt gazetowych, nie z komunikatów radiowych mówiących o Indonezji czy Grecji, ale z prawdy dosiężnej, leżącej na odległości wyciągniętej ręki. Czyż w dosięgnięciu tej rzeczywistości przejawiłem jakąkolwiek własną inicjatywę? Nie.

To klasa robotnicza cierpliwie i wyrozumiale w swym wielkim humanizmie rozkładała przede mną obrazkowy elementarz prawdy o naszym życiu i jego walce.

Zrozumiałem wówczas i tę prawdę podstawową, niezachwianą:

że miłość, że poczucie wspólnoty losów nie wystarcza, że to przede wszystkim zobowiązuje. Bez zgłębienia teoretycznego i praktycznego ideologii klasy robotniczej, bez rozpoczęcia pracy nad sobą, nie pójdę naprzód. Ugrzęznę w bagnie swojej przeszłości, swojej klasy. Trzeba się było uczyć, uczyć i jeszcze raz od klasy robotniczej uczyć.

Dzisiaj, gdy piszę te słowa, robię to z jeszcze większym przekonaniem. Ale zaległości moje w miarę prób ich pokonywania nieustannie wydają się rosnąć.

Myślę, że tylko w codziennym życiu, w codziennym mozole rwać można ową pępowinę próbującą mnie przytrzymać przy świecie, który mnie wydał. Przyszedł czas, gdy zrozumiałem także prawdziwy sens swoich akowskich ran.

Prawdę o mojej roli i mojej pozycji odczytałem na salach sądowych, w trakcie przebiegu wielkich procesów politycznych ostatnich lat. Tak to od bojowego występowania w obronie żołnierskich intencyj — doszedłem do obiektywnego zrozumienia sensu swojej roli i swoich ran, jakie otrzymałem wysługując się faszyzmowi. Dopiero wówczas zrozumiałem źródło swojej ideowej impotencji, swoje błądzenie przez wiele lat.

Partia znowu pomogła. Dzisiaj wiem, co w życiu warte jest miłości i oddania, a co — nienawiści i wzgardy. Tak uzbrojony idę do nowego człowieka. Wbrew pozorom, wbrew chronologii i faktom — po raz pierwszy...

II

Nowy człowiek w Polsce to znaczy: człowiek budujący socjalizm. Jak go szukać, jak odnaleźć... Jak dochodzić poznawczo do istoty tych nowych konfliktów, dynamicznych konfliktów epoki, które on przezwyciężą. Już nie wystarcza, jak to

Wanda Gościmińska

czynili niektórzy, **decydowanie za klasę robotniczą.** Było w tym decydowaniu, w tym opiniowaniu za nią najwięcej, jak to wnikliwie zauważył pewien krytyk, pogardy. Otóż dzisiaj sytuacja jest taka, iż to **klasa robotnicza zaczyna patrzeć na palce piszącego drobnomieszczanina,** z wyrozumiałością, ale nagląco.

Ona w Warszawie wybudowała Trasę W — Z. Drobnomieszczaństwo szlifowało trasy ulic między dwiema znanymi kawiarniami, zbudowało, jak mawiają złośliwi, trasę K — M. Zza szyby wyglądały ku niemu tylko naturalistyczne zarysy nowowznoszonych budowli. Stąd owa krótkowzroczność, stąd owe nietscheańskie spojrzenia na klasę robotniczą jak na swoisty rodzaj „nadludzi".

Chwytano się starych schematów, usiłując zapełnić je jedynie nowymi nazwami, czy naturalistycznymi postaciami. Gdzież szukać źródła zła?

Moim zdaniem — w braku świadomości ideowej. Gębokie przekonanie ideowe, głębokie uświadomienie teoretyczne i praktyczne, wypływające z realnej codziennej pracy, z konsekwentnego codziennego związania się z ideą komunizmu, z budową socjalizmu narzuci nieuchronnie, nową, historycznie prawdziwą wizję świata. Zdemaskuje przed każdym jego własny wsteczny oportunizm.

Metoda pracy twórczej będzie nieuchronną konsekwencją tej świadomości, tego związania się i zespolenia z walczącą klasą. Bo z realizmu w spojrzeniu na świat, z idei socjalizmu klasa ta czerpie swoje siły. A klasa ta już dzisiaj mówi o swoim życiu i walce.

Mówi prosto, często nieporadnie, ale jakże dramatycznie, z jaką twórczą pasją, z jaką siłą owego zwycięskiego Nowego.

Mówi o tym i w broszurach wydawnictw „Biblioteki Przodowników Pracy". Tutaj opowiada o swoich osiągnięciach awangarda klasy, do której równają masy ludowe całego kraju. Mówi Apryas, mówi Zieliński, Łykowski, Michałek. Górnicy, spawacze, murarze, tokarze... Ale z tego szeregu nazwisk, szeregu sylwetek robotniczych wyłania się ku nam ich jeden zasadniczy profil, jest to profil nowego człowieka, jest to profil, jaki formował i formuje w nas epoka budowy socjalizmu. Za tym profilem, historycznie prawdziwym profilem naszego czasu, będziemy śledzić, **ten obraz rozbudowywać i uzupełniać.** Koniecznością wydaje się więc ten obraz usystematyzować, dotrzeć do cech zasadniczych, do jego rysów istotnych.

Wówczas dopiero zrozumiemy, z jak wielką pomocą przychodzi i tutaj ludziom pióra klasa robotnicza.

III.

Kim byli ci ludzie w ustroju kapitalistycznym... Ci wysoko kwalifikowani, najbardziej twórczy przedstawiciele swojej klasy?

Spawacz Czesław Michałek (769,3 proc. normy) pisze: „...Przede wszystkim nigdzie, ale to nigdzie nie mogłem znaleźć pracy... Biegałem od fabryki do fabryki, od zakładu do zakładu, jak to robiły tysiące naszych wygłodzonych, wymęczonych nędzą ludzi. Wszędzie witały nas obojętne, chłodne spojrzenia, wszędzie odprawiano nas z kwitkiem".

Budowniczy Polski Ludowej, górnik kopalni „Brzeszcze" Franciszek Apryas:

„...Chciałem pracować na kopalni — ale dyrekcja odmówiła przyjęcia:

— I tak — powiadają — mamy z tobą dużo kłopotu, robotników buntujesz, do tego sam jeszcze nie bardzo zdatny jesteś do pracy. Idź sobie, dokąd chcesz...

Cięższy był los tych, którzy aktywnie uczestniczyli w rewolucyjnym ruchu robotniczym. Postać murarza Piotra Trzcińskiego, to symbol dziejów wielu tysięcy robotników - komunistów: ...„Półtora roku przesiedziałem w więzieniu w Przemyślu. Nie żałowano mi razów. Męczono mnie bezustannymi badaniami... Policja deptała mi stale po piętach... Byłem często bezrobotny. Toteż głód i nędza zaglądały coraz częściej do naszego domu"...

Ta przeszłość — to zjawisko powszechne w życiu klasy robotniczej przed wojną. Wyzysk, bezrobocie, nędza, więzienie były i są niezbędnymi i charakterystycznymi akcesoriami kapitalizmu. Jakiż był więc stosunek jego robotników do wykonywanej pracy? Pisze o tym górnik Czesław Zieliński (721 proc. normy wydobycia węgla).

„Często zastanawiałem się, dlaczego ja i wszyscy moi towarzysze szliśmy do roboty niechętnie, dlaczego górnika na dole musiał poganiać dozór. Mimo, że przywiązaliśmy się do naszej kopalni, wprost nienawidziliśmy miejsca naszej pracy".

Ta nienawiść uczyła prawdy walki klasowej. Ta nienawiść była skierowana celnie. Godziła ona w społeczny system kapitalistycznej eksploatacji.

Czyż trudno zrozumieć teraz zmianę postawy robotniczej, gdy ustrój burżuazyjny padł, gdy legł zdruzgotany system kapitalistycznej eksploatacji?

Mówi o tym pięknie Koniewski, czołowy racjonalizator Pa-Fa-Wagu:

— „Datę mego urodzenia masz w metryce. — Ale naprawdę, to moje życie zaczęło się po raz drugi od początku na jesieni 1946 roku w dzień, w którym przyszedłem do Pa-Fa-Wagu".

Czym były owe powtórne narodziny Koniewskiego? Niczym innym, jak podjęciem pracy w nowym socjalistycznym przemyśle. Koniewski utrafił w sedno zagadnienia. To właśnie był czas narodzin nowych ludzi. Dokonywała się rewolucja w naszym przemyśle, wśród klasy robotniczej. Kończył się okres druzgotania burżuazyjnego i faszystowskiego aparatu ucisku. Rozpoczynał się okres zabezpieczania i umacniania dyktatury proletariatu: śmiała, twórcza budowa Nowego. Zmienił się w konsekwencjach stosunek do pracy, do własnego warsztatu, do techniki, do narzędzi produkcji, jakie znalazły się w robotniczych rękach.

Nie było tutaj nienawiści — była miłość.

Tow. Berman przytoczył niedawno w swym przemówieniu na naradzie literatów list tow. Marii Żywioł, włókniarki z Andrychowa.

Tow. Żywioł m. in. pisała ...„Jak tkaczka ma do niej (t. j. roboty) serce, jak ją kocha, to dba o nią jak o własne dziecko. Bo kocha...

Eryk Zieliński

Kocham swoją robotę, jak własne dziecko"...

Ta miłość stała się zasadniczym źródłem owego wielkiego przełomu, jaki dokonała klasa robotnicza dzięki twórczemu stosunkowi do pracy.

Józef Stalin w 1929 roku pisał: „Współzawodnictwo socjalistyczne jest wyrazem rzeczowej rewolucyjnej samokrytyki mas, opartej na twórczej inicjatywie milionów ludzi pracy".

Pisze o tym samym Apryas: „(Po wyzwoleniu) ...węgiel na „Brzeszczach" nie był inny... a ja codzień zjeżdżałem na dół z radością w sercu i zapałem do pracy, jakiego nigdy przed wojną nie miałem. Patrzyłem na kopalnię i myślałem sobie: To nasza kopalnia. Patrzyłem na węgiel i myślałem: Nasz to węgiel".

Stąd też już tylko logiczną konsekwencją tej nowej roli klasy robotniczej, nowego stosunku do pracy była następująca samokrytyczna ocena swojej pracy i krytyczne spojrzenie na współtowarzyszy pracy.

...„Przyzwyczailiśmy się myśleć starymi kategoriami, kategoriami kraju kapitalistycznego, w którym praca była ciężarem, każda nowość techniczna, każda inowacja w produkcji groziła zwiększaniem bezrobocia i zmniejszeniem dnia pracy... Teraz dopiero ...zaczynałem rozumieć Stachanowa. Zrozumiałem jego system pracy..."

Tokarz Łykowski (708 proc.) pisze samokrytycznie o swojej poprzedniej pracy: „Nauczyłem się patrzeć krytycznie nie tylko na pracę innych, ale przede wszystkim na moje postępowanie".

Oduczyłem się samolubstwa ...W roku 1947 spadła ona (moja produkcja) do 60 proc. normy mimo, że pracowałem sumiennie. Wstydziłem się, zacząłem analizować przyczyny. Szczera samokrytyka wskazała mi błędy: brak systematyczności, robota chaotyczna ,tracenie czasu na zbędne czynności".

Rekapituluje sprawę Michałek: „Robotnik pracujący dla siebie, w swoim robotniczym państwie musi

Wiktor Markiewka

nie tylko pracować — musi myśleć...".

Ta robotnicza twórcza myśl — oto sens socjalistycznego współzawodnictwa, oto tajemnica sukcesów naszych przodowników pracy.

Gdy słuchałem pięknych i wzruszających słów tow. Żywioł o jej pracy przypomniałem sobie o pewnym wierszu robotniczego samouka, jaki kiedyś z racji moich prac redakcyjnych wpadł mi w ręce. Ów robotnik kończył swój wiersz następująco:

— Gdzie indziej praca kończy się na trudzie,
A u nas zmienia ludzi los".

Podobnie jak robotnik z Pa-Fa-Wagu o swoich powtórnych narodzinach, pisał w swoim pamiętniku wielki robotnik, sława naszej epoki: Włodzimierz Majakowski stwierdzając:

„— Ja urodziłem się w październiku po raz drugi..."

Lenin pisał o tym: „Komunizm zaczyna się tam, gdzie ujawnia się ofiarna, przezwyciężająca ciężki trud troska szeregowych robotników o zwiększenie wydajności pracy, o ochronę każdego puda zboża i innych produktów, które otrzymują nie pracujący osobiście i nie ich „bliscy", ale „dalsi", całe społeczeństwo, dziesiątki i setki ludzi zjednoczonych najpierw w jednym państwie socjalistycznym, a następnie w Związek Republik Radzieckich". Ta, jak ją Lenin scharakteryzował, „ofiarna troska o zwiększenie wydajności, o ochronę każdego puda produkcji" — oto zasadnicza cecha nowego człowieka także w Polsce.

O tej to ofiarnej trosce pisze Kaniewski:

„Znacie chyba to uczucie; napatoczy się jakieś zagadnienie i ani rusz nie można się od niego odczepić. Położysz się do łóżka — zasnąć nie sposób... uparcie niepokoi cię myśl — 10 proc. produkcji idzie na marne. Tyle pieniędzy wyrzucono za okno. Ładni gospodarze. Fabrykę wzięli w ręce i co?"

W ten sam sposób reaguje na swoją pracę człowiek radziecki budujący komunizm.

Jeden z wybitnych stachanowców Uralu — Ponomariew pisze w analogicznym wydawnictwie radzieckim: „Myśli te (o pracy) nie dawały mi spokoju... Bywało przebudzę się w nocy i przed oczami stoi mi moja obrabiarka... Wyskakiwałem z pościeli, zapalałem światło i siadałem za stołem z „podręcznikiem do kół zębatych".

Tokarz Moskiewskiej Fabryki Szlifierek, Bykow, który w roku 1949 otrzymał tytuł laureata Premii Stalinowskiej pisze: „Patrzę na swoją obrabiarkę, jak na broń żołnierza, którą mi powierzył mój kraj. Czy dobrze wystudiowałem swoją obrabiarkę? Czy wykorzystuję wszystkie jej mechanizmy?"

Nie inaczej opowiada o swojej pracy Piotr Trzciński. „Różne są karabiny. Istnieją przecież karabiny nowego i starego typu. Będziemy tynkowali ściany karabinem nowego typu: fandlą" — konkluduje Trzciński i przenosi doświadczenie racjonalizatorskie radzieckie na nasz grunt.

Widzimy więc jak formuje się wspólna więź, wspólny stosunek do pracy, jak krystalizuje się w awangardzie polskiej klasy robotniczej świadomość, od której według Lenina „zaczyna się komunizm", świadomość i więź wspólna polskim i radzieckim ludziom pracy.

Apryas pisze... „Praca... stała się czynnością, bez której nie mogę wyobrazić sobie życia, dla którego wysiłkiem twórczym warto oddać wszystkie swoje siły, wiedzę i nagromadzone przez tyle lat doświadczenia". I oto te wspaniałe, socjalistyczne katalizatory poczęły działać .I gdy ślusarza wrocławskiego, Kaniewskiego, jego koledzy nazwali żartobliwie ojcem nowej produkcji, to był to w tym pozornie żartobliwym powiedzeniu oddany trafnie historyczny sens nowej roli klasy robotniczej w Polsce.

(Dokończenie na str. 7)

Domagamy się bezwarunkowego zakazu broni atomowej, jako oręża agresji masowej zagłady, oraz ustanowienia ścisłej kontroli międzynarodowej nad wykonaniem tej uchwały. Będziemy uważali za zbrodniarza wojennego ten rząd, który pierwszy zastosuje broń atomową przeciw jakiemukolwiek krajowi.

Z uchwały sztokholmskiej Stałego Komitetu Obrońców Pokoju

PAUL ELUARD

XII Kongres KPF

Tu gdzie jesteśmy — a jest to Gennevilliers
Gdzie jest się między braćmi
Tu i Vietnam przybył w dziesiątkę studentów
Smukłych i wiotkich pragnąc nas powitać
W ich powadze odzwierciadla się wola
Która nam każe już na zawsze zmazać hańbę

Przemawia Thorez mówi jak nas kocha
Głos jego dźwięczy — jak odlew posągu — prawdą
Mocne słowa przemocą wydziera mu z ust dobroć
Jak zrozumiały obraz stawia nam przed oczy możliwość
Całkowitą możliwość szczęścia
Pokój to prosta sprawa byleby nastała jedność

Mówi nam Thorez również i o sprawiedliwości
Mówi że Francja to ojczyzna sprawiedliwych
Mówi do nas w imieniu tych co pracują
W imieniu tych co budują życie
I tych co dzierżą w rękach
Siłę zdolną zapewnić bezpieczne jutro

Siłę której na imię braterstwo

2 kwietnia 1950.

Przełożył ROMAN KOŁONIECKI.

Biblioteka Instytutu Bałtyckiego w Gdańsku

WŁADYSŁAW MACHEJEK

TEMATY REPORTAŻU WIEJSKIEGO

Czytając przed wojną reportaże Wandy Wasilewskiej, marzyłem, by pisać podobne, choć nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że wartość reportażu polega na jego funkcji społecznej, słowem, że musi być on uspołeczniony i upolityczniony. Dziś reportaż uspołeczniony i upolityczniony — spełniając te warunki — może być współtwórcą socjalizmu dzięki swym cechom *mobilizującym*. Wartości mobilizujące wytwarza sam temat, aktualny dziś, jutro zastąpiony przez inny, jak i atmosfera języka, który najzrozumialej przemawia o teraźniejszości, jako pomoście do przyszłości. I dlatego dzieło pisane tym językiem jest chwytliwe.

Język teraźniejszości, język ówczesnego etapu walki w reportażach Wasilewskiej mobilizował moją młodzieńczą wyobraźnię. Jako syn chłopski, przeżywający tragizm młodego pokolenia wiejskiego i nędzy wiejskiej w ogóle, powoli uczyłem się patrzeć na każde słowo, jak na dynamit zakładany pod więzienie obszarniczo - faszystowskiego ucisku. Główną rolę w nawarstwianiu się pojęć niewątpliwie odegrała przynależność do KZMP, dyskusje w zakamarkach leśnych nad formami i taktyką budzenia mas — stąd płynęły potrzeby szukania masowego propagandzisty. Do walki stawał reportaż, przemawiał językiem zwycięskiego strajku, krwi na polach Racławic, potu przetapianego w kapitalistycznym tyglu na złoto, językiem zawiązującej się siły sojuszu robotniczo-chłopskiego. Reportaż mobilizował, przez swoją typowość wskazywał drogę milionom.

Przyszła okupacja. Do lasu zagnała mię wprawdzie inna potrzeba niż szukanie materiału literackiego do dzieła przyszłości, ale w wolnych chwilach, gdzieś na postoju w ciasnej chacie wygniatałem na kolanie litery pamiętnika, z którego mógł powstać żywy reportaż o najlepszych synach ojczyzny z PPR i AL, o oficerach Rewolucji ze stażem KPP-owskim, uczących młodzież biedniacką kochać Polskę przez służbę dla Partii i jedność działania z czołową siłą wyzwoleńczą świata — Armią Czerwoną. W czasie mojej niewoli u bohunowsko-NSZ-owskich naśladowców Gestapo część pamiętników potargałem, resztę zjadłem, kawałek po kawałeczku. Zaginął wraz z tym taki choćby „Dzidek", który rósł od świniopasa, który w pierwszej fazie uświadomienia mówi w obliczu kontyngentów, że „faszyzm niszczy wszystko co drogie sercu", aż do oficera określającego swoje zwycięstwo wewnętrzne wobec niewytrzymałych histeryków słowami: „I tak się nie spłaci długu Partii, coś się jej będzie winno... Zginąć? Tym bardziej nie można". — Napisałem powieść „Chłopcy z lasu" (którą drukuje „Książka — Wiedza"), ale to już będzie tylko stwierdzenie i historia przeszłych wydarzeń. Natomiast gdyby został zachowany notatnik wydarzeń, mógłby powstać obraz dokumentarny wydarzeń. Notatnik zastępował mi wtedy reportaż. Świetne radzieckie powieści z okresu wojny domowej i budowy socjalizmu („Chleb" A. Tołstoja, „Sława" W. Gusiewa „Na Wschodzie" P. Pawlenki, „Goriaczyj cech" B. Polewoja itd.) wiele zaczerpnęły z radzieckiego reportażu opisywanych lat i dlatego tętnią krwią obiegową okresu bohaterskiego.

Przyszło wyzwolenie, okres jeszcze wspanialszy dla pisarza. Buduje się władzę ludową, sojusz robotniczo-chłopski najrealniej rodził się podczas przeprowadzania reformy rolnej. Parcelowałem dwory miechowskie i nowotarskie; literatura wtedy nie poszła na wieś po temat, nie poszła także energicznie prasa. W czym się wyrażała rewolucyjność owych dni? W tym, że przyjeżdżał do jednego i drugiego dworu pełnomocnik reformy rolnej i ogłaszał *zmianę czasu* na lepszy, sprawiedliwszy. Niektórzy fornale mówili: „utrze się to, utrze... Ustoi się, jak woda stawu. Rosja? Tam była krew, to i wszystko złe wypłynęło z krwią. A tu? Dziedzic się już uczy po rosyjsku. A mierników nie ma". Robotnik z brygady robotniczej wpadał w te słowa z kategorycznym protestem: „Nie, my kijami wymierzymy wasze działy na tej ziemi. Dziś..!" Kumoterska, powiedziałbym kułacka komisja nadziałowa w Marchocicach (miechowskie) rozdzieliła inwentarz żywy i martwy pomiędzy zamożnych, biedota otrzymała gołe pole z perspektywą pójścia w niewolę do kułaka. Przypominam sobie klęczącą postać wyrobnicy, osieroconą ostatecznie przez syna — partyzanta BCh zabitego na progu właśnie parcelowanego dworu bratobójczą kulą — i myślę dotąd nad jej rękami wzniesionymi do góry, jak nad trwałymi śladami krzywdy. „Boże, uczyń cud, bo niewiadomo, co z nami będzie. Dziedzica wygnali, cóż ja będę biedna robiła?" Tak, biedna, zagubiona owca wśród wilków. Cóż za temat! W Szaflarach trzech górali nie przyjęło aktów nadania.. Czemu? Nie łaknęli może pańskiej ziemi? Młody góral bez ręki, którą utracił w boju z Niemcami we wrześniu 39 roku, zbliżył się do mnie i powiada: „Eh, panie, pan zabierze w garść żyć i odjedzie, a my co? Karabinów nie wolno mieć..." Początkowo nie rozumiałem tych słów. A przecież ten góral już widocznie przez skórę czuł, że zaczyna się krwawa dywersja, bandziorka „Ognia". Później podczas sekretarzowania w nowotarskiej PPR stwierdziłem, że od wielu nadzielonych NSZ-owskie sługi rozparcelowanych dziedziców ściągali haracz w wysokości przyjętego w tych stronach czynszu dzierżawnego. Nastaje terror „Ognia". Miałem możność przejrzenia lakonicznego, ale tym bardziej makabrycznego pamiętnika tego „majora" — koniokrada z Waksmundu. To był pamiętnik-cmentarz. Na każdej stroniczce obok nazwisk stały krzyżyki, oznaczające śmierć i obok wyjaśnienia „„powodu" likwidacji — cóż za cynizm w tej prostackości formułowań; „Żyd", „PPR", „żona oficera KBW". Odszukaliśmy ciało żony kapitana KBW; ręce w przegubach urąbane siekierą, piersi posiekane brzytwą... W tym czasie PSL-owsko-mikołajczykowski starosta Skibiński tłumaczył oburzonym sterroryzowanym członkom Powiatowej Rady Narodowej na po-

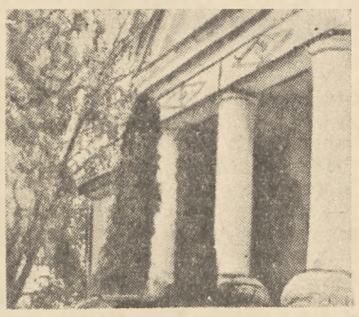

siedzeniu Rady; „ja gwarantuję za porządek" Cóż za wulgaryzacja, cóż za olśnienie dolarami płynącymi przez góry.. A w konsekwencji? Pętlę likwidacji poronionemu, reakcyjnemu Janosikowi zakładają sami górale. Ci właśnie, którzy płacili przez jego ręce czynsze dzierżawne dziedzicom, ci, u których przesilił się strach i przeszedł w samoobronę: Całość — temat!

Następnie — samo montowanie władzy... Znajomość kierowania państwem, powiatem, gminą była dotąd umiejętnością reakcji, wynikającą z monopolu klasowego. Proponowałem urząd starościński w N. Targu pewnemu uczciwemu, wyrobionemu politycznie robotnikowi. Kategorycznie odmówił. Propozycję przeniosłem na młodego studenta, nawróconego partyzanta AK. Czapka mu spadła z głowy. Uciekł bez pożegnania. Odszukałem go po kilku dniach. — „No cóż, wezmę ten krzyż na siebie, jeśli Partia tego żąda, ale czuję, że mię ci fachowcy zjedzą". Dziś walczymy z sabotażem, powstają opowiadania, sztuki na ten temat, ale o ileż więcej tych min dywersji klasowej trzeba było wyszukiwać i unieszkodliwiać w pierwszym roku, w pierwszych latach po wojnie! Dodajmy do tego fakt oderwania terenu od centrów wojewódzkich, konieczność decydowania na własny rachunek, a mielibyśmy ramy obrazu pierwszych, niezapomnianych budowniczych państwowości ludowej. Zwyciężyli! Mój student, aby nie był pogryziony przez reakcyjnych szczurów, sam się nauczył gryźć, znalazł oparcie w Komitecie Powiatowym, w kolektywnej radzie.

Po co rzucam te wspomnienia na papier? Wyjeżdżamy w teren dla szukania tematów. Roi się od nich, młot robociarski wykrzesuje je jak iskry, pług traktorowy wyoruje z głębokiego podglebia, ale wskazać trzeba, że forma zmian, które chcemy oddać w powieści, wierszu, sztuce będzie niepełna, będzie niewytłumaczalna, jeśli u ich dna nie znajdziemy heroizmu pierwszego okresu. Człowiek nie rodzi się gotowy z zębami i wąsami, stworzyła go w warunkach walka takim, z jakim dziś rozmawiamy. Najwyższy czas podjąć i tę tematykę. Temat bieżący nic na tym nie straci, a zyska natomiast trwalsze ideologicznie oparcie i poparcie.

Czy reportaż oddala pisarza od powieści współczesnej, czy przypadkowo nie zamienia jej w proszek problematyki, czy też przybliża?? Jako dziennikarz — wiadomo — nie mam w tej chwili czasu i nie będę go miał w potrzebnej ilości, dopóki dziennikarstwo będzie moim zleconym posterunkiem — ale czy tylko dlatego napisałem kilka reportaży i kilka opowiadań reportażowych, że istnieje taka konkretna sytuacja? Nie.. Przyszła powieść uzupełni reportaże, ale źródłem jej powstania będą reportaże i przeżycia reportażysty. O tym trzeba pamiętać. Wtedy to będzie powieść nie tylko dobra w znaczeniu literackim i politycznym, ale także poczytna. Czemu ludzie nawet o kompleksie antyradzieckim zapytani o „Szosę wołokołomską" Beka, powiedzą, że czytali ją jednym tchem przez całą noc. Bo jest w niej prawda życia, reportażowa prawda życia bez ornamentów fikcji.

Reportaż literacki nie powstaje po jedno, dwu czy trzydniowym pobycie w danej miejscowości. Musimy znać całą skalę porównań, tę skalę sami sobie wyprowadzamy, ale na podstawie dłuższych obserwacyj, w różnym czasie. Nagrodzony przez „Wieś" mój reportaż o socjalistycznej załodze PGR w Chyszowie bynajmniej nie powstał u mnie, t. zn. w moim umyśle po ogłoszeniu konkursu. Ba, przed napisaniem jego byłem w Chyszowie dwa miesiące. Przejeżdżając tamtą trasą w ciągu roku kilkakrotnie wstępowałem do tego Gospodarstwa, byłem na zebraniu produkcyjnym, poznałem ich atmosferę. (Nie przy piwie prowadziłem i nie wywiady z Sosnowskim, czy z kierownikiem Żarowem)-. Dlatego temat objął nawarstwianie się socjalistycznej świadomości co wyjaśnia rozwój produkcji. Ktoś powie — no cóż, przez rok pisać jeden reportaż...? Nie, w jednym czasie prowadzimy dziesięć różnych obserwacyj, bardzo często jedna pomaga do skrystalizowania się drugiej, jedna dojrzeje wcześniej do literackiego opracowania, druga później ,ale to jest tak jak z owocami, którym się nie pisze dnia zerwania.

Zbliża się święto 1 Maja. Jakież może być zobowiązanie pisarzy? A zobowiązania takie są potrzebne (myślę o wewnętrznym przeżyciu). Czytamy w prasie codziennej o tysiącach ton cementu, żelaza, którymi robotnik odpowiada anglo-amerykańskim podżegaczom wojennym — w obronie i walce o pokój. Rusza się także wieś na 1 Maja, aktywizuje się przed tym świętem, by w jednym szeregu z proletariatem manifestować wolę utrwalania pokoju przez pracę. Znów jakiś pesymista powie: zobowiązania na wsi, współzawodnictwo? U Markiewki, u robotników cementowni „Grodziec" wszystko zależy od napięcia woli i myśli. Na wyniki nie ma tu wpływu ani klimat ani gleba w odróżnieniu od rolnictwa, gdzie plon jest ostatnią niewiadomą produkcji. Plon w rolnictwie indywidualnym nie jest jeszcze wierny, to znaczy ulega dość dużym odchyleniom. Ale życie zadało i zadaje kłam pesymizmowi. Doświadczenia ubiegłego roku świadczą o wielkiej sile napędowej 1 Maja, rozpoczęte współzawodnictwo branżowe (jako forma zobowiązań) podniosło w dziesiątkach wsi (np. w krakowskich) dostawy mleka do spółdzielni, wydajność z ha buraka cukrowego itp. W tym roku, kiedy współzawodnictwo branżowe przyjęło się w gromadach jako system stały, ZSCh naprowadza myśl chłopską na współzawodnictwo zespołowe, którego celem jest nie tylko dobro danych gospodarzy i danych gromad, wybiega on troską naprzód o dobro ogólne socjalistyczne.

O czym myślę pisać w najbliższym czasie? Czy tylko o spółdzielczości produkcyjnej? Zasadniczo tak. Ale obok przebiega masa transmisji prowadzących do socjalizmu, muszę lepiej poznać ich bieg. Celowość polityczna tego biegu, to walka klasowa. Oto kułak w Złockiem wybił zęby parobkowi, drugi zaś parobek ujął się za pokrzywdzonym. Obaj sprawili lanie wyzyskiwaczowi, uprowadzili krowy i konie z kułackiego wielohektarowego gospodarstwa po kumotersku zdobytego przy nadziale (i obrabianego siłą najemną) i przyprowadzają je do obory spółdzielczej. Co z tym fantem zrobić? Oto w nowosądeckim stworzono w niektórych wsiach „kombiedy", które egzekwują od posiadaczy inwentarza pomoc sąsiedzką i same się rozliczają z nimi za usługi. Kopalnia zagadnień. Czasem się żałuje, że pióro to nie łopata, że nie można nim wydobyć naraz wszystkiego. Bogate życie! I dlatego, by nie skomplikować samego pisania, niech reportaż posłuży do zapamiętania wielkiego przełomu gospodarczo - społecznego dla przełomu w literaturze.

Władysław Machejek.

TADEUSZ SZEWERA

PIERWSZA

Należę do tych młodych, dla których konkurs zorganizowany przez tygodnik społeczno - literacki „Wieś" konkurs na „reportaż o wsi"' stał się pierwszą próbą sił pisarskich, pierwszym krokiem w twórczości literackiej.

Dla zdobycia wiedzy rolniczej na wyższej uczelni, w pierwszych latach istnienia Polski Ludowej, mając 21 lat, znalazłem się w nowym do pewnego stopnia dla mnie obcym środowisku robotniczego miasta jakim jest Łódź.

Rozmaita młodzież znalazła się wówczas na uczelni łódzkiej. Różne były tej młodzieży poglądy, różny sposób patrzenia na wieś, jak różne były środowiska z którego pochodziła. Znalazłem się w tym środowisku wychowany na tradycjach hetmańszczyzny, tradycjach tkwiących w szkole powszechnej a po tym w gimnazjum i liceum im. hetmana Jana Tarnowskiego, wynikających choćby z faktu, iż Dzików był siedzibą hrabstwa Tarnowskich a ja dzikowianinem. Na wieś patrzyłem oczyma tradycyjnych pisarzy „chłopskich", że widziałem jej piękno nawet w obdartym kilkunastoletnim pastuszku, pasącym bydło u chłopa bogatego za barłóg pod żłobem w stajni.

Na uczelni znalazła się różna młodzież, zetknęło się miasto ze wsią. Już obserwacje pobieżne wskazywały na to, iż młodzież mieszczańska jest po to na uczelni rolniczej, by zdobyć pewien zasób wiedzy a specjalnie, by zdobyć papier, który otwiera szerokie perspektywy uzyskania popłatnego i korzystnego stanowiska. Bardzo mały procent tej młodzieży interesował się rzeczywiście problematyką wiejską. (Dziś sprawy te przedstawiają się na łódzkiej WSGW zupełnie inaczej). Inną grupę stanowiła biedna młodzież chłopska. Zetknąwszy się z nią na platformie Koła Naukowego Rolników rychło przekonałem się, iż ma ona już mocny kręgosłup polityczny.

Z inicjatywy tej młodzieży, w łonie koła powstała sekcja współpracy ze wsią. Nie należałem do tej sekcji, a jednak wciągnąłem się do roboty i wyjeżdżałem z kolegami na wsie, by prowadzić prelekcje, by zdobytą na uczelni wiedzę oddawać chłopu dla jego potrzeb gospodarczych.

Po jednym z wyjazdów na wieś postanowiłem napisać coś do prasy codziennej. Nie siliłem się na opis piękna wsi, napisałem o tym, jak to młodzież wiejska, ucząca się na uczelni w mieście wraca na tę wieś, by zmienić jej strukturę społeczną, polityczną i gospodarczą. Reportaż został wydrukowany, ale koledzy na uczelni wyśmiali mnie. Nie ci, którzy umieli patrzeć na wieś i widzieli na wsi walkę klasową. Wyśmiali mnie ci, dla których wieś zawsze była „spokojna i wesoła". Wyśmiali mnie jeszcze dlatego, że uważali, iż wystarczy być społecznikiem. Po co jeszcze pisać o tym co jest drażliwe, pisać o bogatym jak wyzyskuje.

Mimo półuśmieszków kolegów, a nawet cierpkich uwag na temat mej działalności dziennikarskiej, nawiązałem kontakt z redakcją, która mój pierwszy reportaż wydrukowała. Chciałem za wszelką cenę pisząc, pokazać czytelnikowi właściwą wieś z jej klasowymi zróżnicowaniami z jej walką klasową. Chciałem pokazać przemiany zachodzące wewnątrz wsi, wzrastającą świadomość chłopstwa pracującego, ich stanowisko wobec wyzyskiwaczy i bogatego chłopstwa. Chciałem pokazywać to czego tak wielu pisarzy unikało skwapliwie — walkę klas.

Na początku 1948 roku zetknąłem

KAZIMIERZ DĘBNICKI

DLACZEGO PISAŁEM

O sprawach związanych z konkursem „Wsi" miałem zamiar napisać, jeszcze przed poznaniem treści apelu, wystosowanego przez redakcję tygodnika — do „laureatów". Miałem i mam poważne zostrzeżenia wobec mego reportażu, zastrzeżenia mogące w skrócie sprowadzić się do generalnego zarzutu zbytniego, *przesadnego portretowania* ludzi, a traktowania tematu zasadniczego, ośrodka zdrowia, jako tła. Stąd, moim zdaniem, Breszko przytłoczył problem ośrodka. Myślę też, że winienem przyznać się do grzechu naciągania tematu. Pisząc reportaż zapomniałem, że chodzi o ośrodek zdrowia, porwał mnie problem ogólniejszy, problem z którym stykałem się na wsi w czasie okupacji i po wojnie — problem służby zdrowia w terenie wiejskim w ogóle. Stąd patrząc w szeroką perspektywę ogólnego zagadnienia, trochę po macoszemu potraktowałem konkret, żywy, działający, walczący z trudnościami — ośrodek zdrowia. Pokazywałem jego nastrój, ludzkie postaci — ale jego pracy właściwie nie pokazałem. I to jest źle, bo przecież z tych konkretnych, istniejących, źle lub dobrze funkcjonujących ośrodków składa się problem ogólny, szeroki, generalny.

I to jest źle, bo ośrodek pracuje dla ludzi, jest przez ludzi tworzony, prowadzony. Ja pokazałem ludzi na tle ośrodka, nie pokazałem ich dynamicznie jak tworzyli, jak pokonywali opory, (a opory były), jak ośrodek powstawał, wznoszony przez ludzi.

W ten sposób właściwie nie wykonałem, w moim przekonaniu, zadania sobie nakreślonego. Bo zadaniem tym nie był sam udział w konkursie, ale próba literackiego pokazania pewnego odcinka życia: walki wsi, położonej w centralnej Polsce, wsi, dodajmy z tradycjami, sięgającymi do lat powstańczych 1863 r., wsi-osady fabrycznej żywo pamiętającej r. 1905, wsi w dużym stopniu partyjnej, partyjnej nie z okresu powojennego, ale z okresu walki z sanacją i konspiracyjnej akcji antyhitlerowskiej.

TEREN I TEMAT

Cały szereg przyczyn złożył się na wybór zarówno tego terenu jak i tego tematu. Najważniejszą była dla mnie ta okoliczność, że Suchedniów, jak zresztą i wiele osad, miejscowości na tym obszarze woj. kieleckiego, ukazuje ciekawe zjawisko społeczne przerastania proletariatu wiejskiego w miejski, fabryczny, *bez zmiany miejsca zamieszkania*. Bliskość dużych ośrodków przemysłowych (Skarżysko, Starachowice, Kielce), uprzemysłowienie samego Suchedniowa i przemysłowo-górnicze (kopalnie rudy z okresu rozbiorowego) tradycje — stworzyły typ ludzki dość swoisty. Z jednej strony niezerwana więź z gospodarką rolną, z drugiej jednoczesna, wieloletnia, często już 3 pokolenia trwająca, praca w fabryce, ukształtowała typ chłopa o silnie wyrobionym, klasowym instynkcie proletariusza przemysłowego. Stąd typowa dla ludzi wsi ciekawość wszelkich przejawów przyrody już robotnicza skłonność do naukowego rozpatrywania zjawisk przyrody, bez jakichś mistyczno-religianckich, kułackich „filozofii".

Stąd robotniczy, klasowo-proletariacki pęd do organizacji, do Partii, umiejętność organizowania pracy zespołowej, przy jednoczesnym gospodarskim poczuciu dużej niezależności osobistej, co w klasie robotniczej tak usilnie chciał dławić kapitalizm, mający do ujarzmienia proletariatu miejskiego łatwy dostęp wszelkimi kanałami.

Nie wiem, może to być jedynie przypuszczenie. ale wydawało mi się zawsze, że radzieccy kołchoźnicy mają podobne cechy charakteru, co ludzie, o których pisałem, których znam, z którymi żyłem.

Z tą, rzecz jasna, różnicą, że kolektywna gospodarka musiała dać o wiele bardziej głębokie przeobrażenie ludzkiej umysłowości. Tym niemniej to połączenie życia na wsi, wśród pięknych, bogatych lasów, z pracą robotnika fabrycznego, może dawać podobne efekty w psychice ludzkiej. Myślę, że kiedy w Suchedniowie powstanie spółdzielnia produkcyjna to jej członkowie nie będą musieli przełamywać tych oporów, jakie przełamują ludzie na innych, typowo wiejskich terenach. Że bardziej i prędzej przypominać będą kołchoźnika ZSRR.

Napisałem: kiedy powstanie spółdzielnia produkcyjna w Suchedniowie. I tu kryje się kwestia wyboru

tematu do reportażu. W Suchedniowie, na wsi Kruk, o której pisałem, nie ma spółdzielni, choć nie ma oporów jeśli chodzi o jej założenie. Sprawa polega na tym, że drobne i ubogie działki ziemi, posiadane przez tamtejszych ludzi, nawet scalone, nie pozwolą na stworzenie rentownego terenu spółdzielczej eksploatacji rolnej. Istnieje inny pomysł, gorąco dyskutowany — spółdzielnia hodowlana, specjalizująca się w chowie świętokrzyskiej, odpornej a mlecznej rasy krów. O tym jednak kiedyindziej.

Wybrałem więc ośrodek zdrowia, bo wiązał się on z bardzo dla tego terenu (sądzę zresztą, że nie tylko dla tego) aktualną problematyką a utrudnioną i komplikowaną przez biurokratyczne jej traktowanie na poszczególnych szczeblach hierarchii służby zdrowia.

Mógłbym może napisać 5 innych reportaży, lepiej obrazujących postawę, *bojowość, partyjność* tamtejszych ludzi. Mógłbym pokazać np. ich wielkie (wielkie nawet nie w suchedniowskiej skali) plany urbanistyczne, ,plany przebudowy osady, plany, które w pierwszej fazie rozbijają się o... krowy nadleśnictwa. Ale tematów tych nie było na konkursowej liście. Wybrałem więc Ośrodek Zdrowia, bo ma on już pewną historię zorganizowanej walki i pracy tamtejszej ludności, na czele z organizacją partyjną, o polepszenie stanu zdrowotnego gminy. Historię, jeszcze okupacyjną.

Wybrałem ten temat, bo pozwalał on pokazać i trudność sprawy i nieustępliwą wolę chłopów z Kruka i innych gromad rozwiązania trudności, wolę partyjną, zorganizowaną, wolę ludzi XX wieku, którzy nie zadawalają się osiągniętym, ale patrzą i idą w przyszłość. Dodajmy, którzy nie dzielą zagadnień, nie traktują ich rozłącznie, ale każdą rzecz *przymierzają do całokształtu spraw* i projektując oświetlenie wiejskiej ulicy, pamiętają, że lekarz jeździ nocą do chorego.

ZASTRZYK OPTYMIZMU

Przypuszczałem, że wielu uczestników konkursu pokaże wieś wahającą się, wieś pełną jeszcze słabości, ale wiedziałem, że mimo prawdziwości takiego obrazu, są jeszcze obrazy inne, że są wsie te właśnie chłopsko-robotnicze, które w walce o socjalizm nie ustępują miastu, które, ze swymi silnymi organizacjami PZPR na czele, dawno pozostawiły za sobą chłopskie, średniackie opory, załamania, poszeptywania i strachy. Jeżeli walczą z kułakiem — to walczą już po robociarsku, jeżeli walczą z księdzem-reakcjonistą, to nie w imię litościwego Kościoła, ale w imię Postępu, jeżeli coś budują, to budują przede wszystkim własnymi rękami, nie wyczekując cierpiętniczo, aż im kto „z góry", z miasta pomoże, pokaże, ułatwi. Zdaję sobie sprawę z tego, że takich ośrodków nie jest wiele, ale wiem też, że są to ośrodki o ogromnej wartości, że są to dla okolicznego terenu drożdże rewolucyjnego fermentu, że trzeba je pokazać, spopularyzować. I wśród tych, którzy się takim obrazem ucieszą i wśród tych, którzy się zmartwią, bo woleliby widzieć polską wieś bezduszną, bierną, martwą, mikołajczykowsko-klerykalną.

Obraz takiej wsi — jest „sui generis" zastrzykiem optymizmu i o ten prawdziwy, ze szlachetnych składników skomponowany zastrzyk mi chodziło.

Inna sprawa, czy mi się to udało. Pisząc myślałem jednak o robotniczych ekipach łączności ze wsią, myślałem o robotniczo-chłopskim sojuszu i o tym, że właśnie taka wieś realizuje ten sojusz na miejscu, u siebie, że jej wkład do sprawy współdziałania chłopsko-robotniczego jest ogromny. Temu nie używając wielkich, pompatyczno-agitacyjnych słów — chciałem dać wyraz. I jeżeli do Suchedniowa, na Kruk zawita robotnicza gromada, to niewątpliwie poczuje się, jak u siebie na warsztacie, u siebie w domu. I to chciałem, między wierszami, w miarę, jak pozwalał na to temat, powiedzieć.

Myślę, że tego typu wypowiedzi pisarskie, dziennikarskie, oczywiście bardziej niż moja udane, bardziej przemyślane, bardziej dynamiczne w treściowym ładunku, mają znaczenie *mobilizacyjne* w politycznej walce, toczonej dziś o Socjalizm w Polsce.

Pokazują bowiem naszą siłę, pokazują zmagania chłopów-rewolucjonistów, odkrywają kłopoty i niedociągnięcia, pozwalają skorygować błędy, popełniane odgórnie w stosunku do wiejskich terenów przez niektóre biurokratyczne hamulce naszego aparatu administracyjnego, pokazują wreszcie człowiekowi miasta, bliskiego mu sojusznika, towarzysza, podnoszącego na skraju jodłowej puszczy — Sztandar Socjalizmu!

DLACZEGO REPORTAŻ!

W tym sensie reportaż, jaki pisałem — miał spełniać rolę publicystyczną. Sądzę, że takie zadanie stawiał sobie każdy biorący udział w konkursie, kto wie nawet, czy niektóre prace nie stały się zbyt już publicystycznymi wypowiedziami, ze szkodą dla literackiej strony reportażu.

Z drugiej bowiem strony traktowałem konkurs, jako pewną próbę znalezienia *literackiego, realistycznego* wyrazu dla bogatej, a nieznanej w latach kapitalizmu, sponiewieranej, zafałszowanej przez burżuazyjną literaturę, zepchniętej na krańce zainteresowań czytelniczych, problematyki wiejskiej .

Wiedziałem z własnych, ubogich zresztą doświadczeń, że nowela i powieść nie spełniają dziś jeszcze tej roli. Żyjemy szybko. Za szybko często dla powieściopisarza, nowelisty, żyjemy tempem redakcyjnym, gorączkowym, reportażowym. Tym tempem zaczyna żyć wieś polska. Można i trzeba pisać nowele i powieści o reformie rolnej, o jej realizacji w ostrej walce z podziemiem nielegalnym i legalnym, mikołajczykowsko-P.S.L.-owskim, trzeba pisać utwory literackie o zagospodarowanie Ziem Odzyskanych. ale to są już sprawy historii, przeszłości. Życie gna tak szybko, że dzieje pięciolecia mogą już wejść do podręczników. Proces budowy socjalizmu przegania często nas samych, mimo naszej aktywności w jego tworzeniu. A przecież proces ten musi mieć swój wyraz literacki, artystyczny. I im bardziej trudną, odległą, zaniedbaną jest wiejska, chłopska strona tego procesu, tym bardziej trzeba ją rozgryźć, opanować, przetworzyć w aktualny obraz literacki. Aktualny — a więc nie powieściowy, nie nowelistyczny. Stąd reportaż, stąd udział w konkursie.

Myślę przytem, że w okresie walki o realistyczne oblicze powieści i noweli — nie łatwo byłoby (niezależnie od powolności tworzenia powieści, jej ogarniania rzeczy już byłych, choć dopiero wczorajszych) napisać dzisiaj aktualną powieść chłopską. Powieść o dużych walorach artystycznych, powieść o wielkim ładunku ideologicznym. My dopiero uczymy się A.B.C. — realizmu socjalistycznego w literaturze.

PRÓBA

(Dokończenie ze str. 5-ej)

się z łódzkimi dziennikarzami i zacząłem coraz więcej pisać o wsi. Ale były to krótkie artykuliki, małe reportaże, które w żadnym wypadku nie zaspakajały potrzeb czytelnika i moich.

W czasie pracy dziennikarskiej zetknąłem się z dwiema grupami dziennikarzy. Ze starymi tkwiącymi jeszcze w tradycjach międzywojennych dziennikarzami i młodymi, pełnymi dynamizmu ludźmi, których sposób pisania i pokazywania środowisk, czy to miejskiego, czy to wiejskiego nie odpowiadał starym. Dla nich młody człowiek pragnący pisać był jeszcze miernotą literacką, był złym dziennikarzem. Wyrabiało się więc w młodych przekonanie, iż nigdy nic wartościowszego nie napiszemy, że należy ograniczać się do krótkich notatek czy wzmianek, względnie niewielkich opisowych i bezproblemowych reportażyków.

Pod wpływem takiego stanowiska rosła też niechęć do twórczości literackiej, do pism literackich i literatów. Pocóż pisać, skoro nie wydrukują, nikt tego nie przeczyta, nikt nie zapozna się z zagadnieniem, nie porówna go z wydarzeniami zachodzącymi w innym środowisku i nie będzie mógł z postawionych projektów rozwiązania zagadnienia skorzystać. Zbierane w czasie wyjazdów przeze mnie notatki i materiały gromadziłem w teczce, nie wykorzystując ich, a jeżeli tak, to tylko pobieżnie. Wydawało mi się, chociaż niejednokrotnie czytałem o wychowywaniu nowych kadr pisarskich przez tygodnik „Wieś", że literatura jest tylko dostępna dla z góry predystynowanych.

Bo powiedzmy sobie szczerze, czy reportaż o Łąkińsku, wyróżniony na konkursie nie mógł powstać o rok wcześniej? Mógł powstać i to zupełnie dobrze. W Łękisku byłem nie po raz pierwszy, jeździłem tam od 46 roku, miałem moc materiału, który zbierałem razem z tamtymi ludźmi. A przecież ten kompleks niższości, wyrobiony na podstawie stanowiska niektórych dziennikarzy i literatów, był przyczyną, że nie tylko mój reportaż ale i inne reportaże powstały właśnie dzięki konkursowi i dopiero w roku 1950. Dlaczego tak późno?

Podczas jednego z mych wyjazdów na wieś produkcyjną, spotkałem się z W. Jażdżyńskim. Obydwaj byliśmy zajęci tym samym zagadnieniem — spółdzielnią produkcyjną w Srebrnej pod Łodzią i jej rozwojem. Razem zbieraliśmy materiał. W powrotnej drodze Jażdżyński zadał mi kilka pytań, z których jedno miało dla mnie znaczenie — dlaczego tak powierzchownie zabieram się do zagadnienia. Odpowiedź moja brzmiała — piszę dla gazet codziennych. U nas nie pójdzie materiał duży. Rozwiązanie problemu postawię chyba w komitecie. Tak jak się to robi zazwyczaj, względnie przed działaczami społecznymi. A przecież pisarz to też działacz społeczny, sam więc powinien pisząc ukazać rozwiązanie problemu.

W rozmowie ze współpracownikiem „Wsi", który rozwiał mi mit o klanie jaki tworzą literaci, doszedłem do przekonania, że nowa powojenna literatura to pisarz robotnik, to pisarz chłop obok profesora, naukowca i literata z zawodu. To przecież literatura wszystkich.

Było to w czasie, gdy tygodnik „Wieś" ogłosił konkurs na reportaż. Postanowiłem popróbować. Postanowiłem napisać o Łękińsku. O tym o czym można było napisać rok temu.

Tadeusz Szewera

LESZEK GOLIŃSKI

POKAZ SOJUSZ!

Jestem dziennikarzem. Przez długi czas w dziennikarstwie polskim obowiązywała metoda t.z.w. omnibusów: byli to ludzie „do wszystkiego", a więc zmuszeni koniecznością do zabierania głosu we wszystkich sprawach, od gospodarczych począwszy na kulturalnych skończywszy.

Z czasem, w miarę bogacenia się wszelkich form życia, zaszła słuszna konieczność specjalizacji. Pozostał jednak ślad tamtych, „pionierskich" czasów: żywe zainteresowanie się zarówno zagadnieniami wsi, jak i miasta, planów przemysłowych, jak i recenzji teatralnych. Te właśnie dziennikarskie doświadczenia są mi dzisiaj pomocne przy rozwiązywaniu wielu zagadnień literackich, nad którymi biedzą się ludzie, hołdujący do niedawna przesądom kawiarnianym, a dziś nagle, wprost z „Kopciuszka" wysyłani do obór spółdzielni produkcyjnych.

Prawdą jest, że to masa młodych dziennikarzy Polski Ludowej, podróżując codziennie na wozie i pod wozem, tłukąc się po najbardziej zapadłych (co na szczęście należy już do rzadkości) wsiach, cierpiąc trudne do opisania niewygody, brnie za traktorami, śpi na wyrku, rozmawia, obserwuje, współdziała. Z takich dni, pełnych trudu i nocy, pełnych niewygód rodzi się nowy reportaż.

Na pytanie Redakcji „Wsi" dlaczego wziąłem udział w konkursie na reportaż wiejski, odpowiadam:

Stało się to pozornie przypadkowo. Pewnej soboty otrzymałem polecenie udania się wraz z robotniczą ekipą łączności na wieś. Było to w grudniu.

Ale materiał, który przywiozłem do miasta, na luźnych notatkach, był bardzo skromny. Powstał z niego zwyczajny, stereotypowy reportaż dziennikarski, poparty kilkunastu nazwiskami i faktami.

Czytając go w parę dni później w druku, uczułem, że tym ludziom z ekipy stała się wyraźna krzywda.

Spółdzielnia produkcyjna w Wojnowie, pow. Oborniki koło Poznania

Cóż jednak było robić? Rozmiar reportażu w prasie codziennej nie śmie przekraczać iluś tam wierszy, przy tym wymagane są ścisłe fakty, cyfry, a wszelka t. zw. „poezja" wykreślana jest skwapliwie przez sekretarza redakcji. Reportaż w prasie codziennej rejestruje f a k t. A ja czułem, że praca tej ekipy, jak i każdej innej, to nie tylko fakt. To coś więcej.

Miałem się zresztą przekonać o tym w kilka dni później.

Było to gdzieś koło świąt Bożego Narodzenia. Spotkałem na ulicy robotnika ze wspólnego wyjazdu. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

Gdy zapytałem go, co o nim myśli, podrapał się w brodę zakłopotany.

— No, kiedy nam być szczery, to już powiem — ten wasz artykuł nie podobał mi się wcale.

Napisaliście żeśmy jeździli? Prawda. Że pomagaliśmy chłopom z Ruska? Też prawda. Ale wiecie — człowiek ma także głowę, myśli, kalkuluje. Patrzyłem w oczy chłopom, a oni mnie. Coś się w nas ważyło, coś przełamywało, coś więcej, niż sama pomoc, czy współpraca. No, kuł się **sojusz**. Rozumiecie chyba, wy to lepiej potraficie określić, niż ja...

Nie. Nie potrafiłem lepiej.

Myślałem o tym długo. I wtedy właśnie dowiedziałem się o konkursie „Wsi".

nie rozwój i obraz wsi, tej bez cudzysłowu, odmalowuje równolegle z nią walkę i pracę klasy robotniczej. Socjalizm zmierza do ustroju bezklasowego. Coraz bliższe są drogi między miastem a wsią.

To naczelne zagadnienie rozpada się na szereg aspektów: drobnym jego wycinkiem jest sama praca techniczna, udzielana przez miasto wsi. Wyjazd ekipy robotniczej na wieś — to przede wszystkim przełom psychiczny i w duszach członków ekipy i mieszkańców wsi. To dalej przełamanie rogatek kulturalnych, dzielących miasto od wsi nie zwyczajnym i cienkim szlabanem, ale chińskim murem, przez który przedostawali się do niedawna chorzy na ludomanię apostołowie i oszuści polityczni.

Wyjazd ekipy robotniczej na wieś — to nauka dobrego społecznikostwa, to zrozumienie ważności produkcji przemysłowej na wsi, a rolnej w mieście. To wymiana doświadczeń i wymiana wysiłków. To zespolenie dwu najważniejszych nurtów, dwu potężnych sił w życiu naszego społeczeństwa.

Święto pierwszomajowe święcić będziemy tego roku pod hasłem jeszcze bardziej zacieśniającego się sojuszu robotniczo-chłopskiego. W pochodach pierwszomajowych już nie krakowskie banderie, rogatywki z czerwonej bibułki i przeplatane wstążeczkami baty, cała ta smutna spuścizna po drugiej, międzywojennej rzeczypospolitej, ale traktory, kombajny, kombinezony symbolizować i reprezentować będą wieś. Wiejscy kinooperatorzy, traktorzyści, elektrotechnicy, agronomi. Nauka, złączona z przemysłem, zamieniająca pierwotne formy gospodarki wiejskiej na potężne kombinaty produkcji rolnej.

Dlatego właśnie sojusz robotniczo-chłopski i praca ekip robotniczych wydała mi się najwłaściwszym tematem konkursowym.

Już po wysłaniu mojej pracy na konkurs spotkałem przypadkiem w mieście wycieczkę z tegoż Ruska. Przybyła na zaproszenie robotników. Chłopi oglądali maszyny do wyburzania murów, kruszarki. buldożery. Obiecali pomóc. To był chyba tej współpracy etap drugi.

O trzecim dowiedziałem się już z prasy. Nie dalej, jak trzy tygodnie temu przeczytałem, że w Rusku powstała spółdzielnia produkcyjna.

NA KONKURS „WSI"

Nie kwestionując więc, dotychczasowych rzetelnych wysiłków pisarzy w tej dziedzinie, muszę powiedzieć o sobie, że wybrałem *reportaż literacki*, jako tę formę wypowiedzi, która łączy publicystykę i pracę literacką, która pozwala uchwycić aktualną problematykę na gorąco i którą najłatwiej można wprowadzić na tory socjalistycznego realizmu.

I tu chciałbym poruszyć niezmiernie dla mnie ważny problem, wiążący się z reportażem, uczciwym, prawdziwym reportażem o wsi. Napisałem przed chwilą o reportażu jako o formie w wypowiedzi literackiej, pozwalającej uchwycić aktualną dzisiaj (nie wczoraj, i może już nie jutro) problematykę terenu.

Ale i reportażu nie pisze się za biurkiem redakcyjnym czy domowym. Reportaż pisze się *w terenie*. Reportaż wymaga obserwacji, wymaga przegryzienia się przez wszystkie płycizny, narzucające się piszącemu przy pobieżnym tylko poznaniu tematu.

DOBRA WOLA I PRACA ZORGANIZOWANA

Celem Konkursu, jak sądzę, było zmobilizowanie uwagi ludzi pióra wokół spraw chłopskich, spraw 60% ludności kraju, spraw naszego rezerwuaru żywnościowego, od którego prawidłowego rozwoju zależeć będzie Plan Sześcioletni, zależeć będzie budownictwo Socjalizmu w Polsce, zależeć będzie zatem wartość naszego udziału w międzynarodowym froncie walki o Pokój.

Pisarze, dziennikarze — na zaniedbany literacko odcinek! — mogłoby brzmieć hasło konkursu. Słuszność celowość takiej mobilizacji nie wymaga wyjaśnień. Potrzebna jest ona czytelnikowi w mieście, potrzebna jest chłopom, potrzebna jest samemu piszącemu. Wzbogaca wszystkich.

Ale każda mobilizacja ma na celu osiągnięcie trwałych sukcesów.

Konkurs wtedy spełni swoje zadanie, jeżeli jego uczestnicy wleżą na dobre w sprawy wsi, jeżeli będą kontynuować reportaż literacki ze wsi, jeżeli staną się dobrymi specjalistami tej tematyki. Nie oznacza to, że mają się zasklepiać tylko w tej dziedzinie.

Chodzi więc o mobilizację *trwałą*, nie próbną. Chodzi o poważne zadanie dla ludzi pióra w okresie realizacji planu budowy fundamentów socjalizmu.

Nie wątpię, że znaczna większość uczestników konkursu ma najlepszą wolę podołania tym zadaniom, że ich zainteresowanie chłopską problematyką nie ogranicza się tylko do konkursu „Wsi", ale rozszerza się na całą wieś.

Obok dobrej woli — jest jednak jeszcze problem technicznych możliwości, jako że, powtarzam, reportaż pisze się na wsi, w terenie. W pewnej mierze sprawę tę uregulowano jeżeli chodzi o zorganizowanych pisarzy, umożliwiając im dłuższy pobyt w ośrodkach wiejskich. Cóż jednak zrobić z piszącymi, a nie zorganizowanymi, co zrobić z publicystą, który, mimo,, że „uprawia" reportaż, nie może na dłuższy czas opuścić redakcji, a gdyby nawet mógł, to z czegoś na wsi żyć musi.

Nie mówiąc już o jego rodzinie, którą ludzie pióra bywają również obdarzeni. Wydaje mi się, że problem ten winien być uregulowany przez Związek Dziennikarzy, w ten sposób, by ludzie, którzy wykazali się zainteresowaniem problematyką wiejską i zdali egzamin ze swych literacko-reportażowych umiejętności — mogli być zwalniani przez swoje redakcje, niezależnie od pełnionych w nich funkcji, nie tracąc prawa do normalnych poborów dziennikarskich.

To byłaby uwaga techniczna, konieczna, jeżeli chodzi o tych uczestników konkursu, którzy gotowi są do pogłębiania swego kontaktu ze wsią, a którzy nie znajdują się w sytuacji pisarza zorganizowanego.

WAGA STAŁEGO KONTAKTU

Współpraca w tej sprawie zawodowej organizacji literatów (Z.L.P.) i Zw. Zaw. Dziennikarzy, redakcji zainteresowanych pism, Partii politycznych i masowych organizacji społeczno-gospodarczych — mogłaby stworzyć ludziom piszącym o wsi nieodzowne, techniczne warunki pełnej realizacji ich literackich a przy tym politycznych zadań. Politycznych nie tylko w sensie ciężaru gatunkowego, ideologicznego ich wypowiedzi na łamach pisma, ale w sensie nawiązania żywego, politycznego kontaktu ze środowiskiem chłopskim. Kontakt ten, wzbogacając pisarza, wzbogaca chłopów. Ten kto mieszkał na wsi — ten wie, jak, po przełamaniu pierwszych lodów nieufności, narasta codzienna, intensywna niezmiernie ciekawa współpraca między człowiekiem z miasta, inteligentem, pracownikiem kultury a ludźmi wsi. Wie, jak staje się przydatny, wie, jak tę przydatność i potrzebę teren chłopski umie ocenić, umie twórczo wykorzystać.

Pamiętam, że pracując stale na terenie miejskim przed wojną, oderwany od wsi, zagłębiony w problematyce politycznej miejskiego proletariatu i miejskiej inteligencji postępowej, sam ulegałem nastrojowi pewnego lekceważenia spraw chłopskich, szerzonemu przez burżuazję i jej prawicowe agentury w ruchu robotniczym, a podsycanemu wystąpieniami kułackich „reprezentantów" wsi, mogących do wsi na dobre zniechęcić każdego mało wyrobionego działacza.

Wyłomem był strajk chłopski, wyłomem w tej fałszywej, błędnej ocenie wsi młodego działacza studenckiego, jakim byłem, był stary, schorowany chłop spod Białegostoku, który wypytywał mnie o „Dziennik Popularny", o ludzi, piszących do „Dziennika", o ruch rewolucyjny w mieście. Wtedy usłyszałem słowa „sojusz robotniczo-chłopski" po raz pierwszy z ust chłopa. I wtedy postanowiłem rozstać się na pewien czas z klasykami marksizmu, pojechać na wieś, przeżyć i doświadczyć samemu to, co przedtem czytałem w formie naukowej, politycznej, ekonomicznej rozprawy.

Były to jednak marzenia, którym brak było wszelkich możliwości realizacyjnych. Warszawa, jej sprawy, narastający kryzys wojenny — trzymały, nie pozwalały wyjechać. Nie było też mowy o pisaniu o wsi na łamach ówczesnej młodzieżowej prasy bardzo miernie lewicowej, bo

Na wiejskiej drodze

krępowanej przez reakcyjną linię polityczną CKW. Zresztą cóż, poza frazesami, mógłbym wówczas, nie znając wsi, napisać??

KOPALNIA TWÓRCZOŚCI

Dopiero wojna, która rzuciła mnie na szereg lat na teren wsi Kieleckiej pozwoliła mi na ujrzenie tak barwnej mozaiki zagadnień, takiego bogactwa tematów, takiego ogromu możliwości pisarskich, że czułem się tym odurzony, jak mocnym winem. I czuję się nadal, chociaż znowu jestem od wsi odcięty.

Możnaby zarzucić, że niedoceniam problemów miasta, że w tym upiciu się wsią naprawdę po pijacku, tracę poczucie rzeczywistości. Nie. Wiem, że kluczowe zagadnienia rozgrywają się w mieście, na fabrykach, w hutach i kopalniach. Ale wiem też, że wieloletnie zaniedbanie kulturalne wsi, stworzyło w literaturze polskiej lukę tematyczną, równie szkodliwą dla literatury, jak i dla wsi.

O podziale klasowym miasta wiemy dobrze, rozumiemy jego mechanikę, piszemy o tym od dawna, inna rzecz, że często w sposób daleki jeszcze od realizmu socjalistycznego. Podział klasowy wsi — jest natomiast dla pisarza, dziennikarza, reportażysty — czemś w praktyce nowym, zaskakującym.

Takie przykłady można by mnożyć dziesiątkami.

Kiedy na kieleckiej wsi w latach okupacji tworzyliśmy podziemną organizację robotniczą, lewicową, RPPS — musiałem stale zdumiewać się entuzjazmem ludzi. A co dopiero, gdy okazywało się, że są wśród nich działacze od lat, ludzie z tradycjami bojówek SDKPL i PPS z okresu rewolucji 1905, ludzie prześladowani za socjalizm przez sanację.

Kiedy przedtem jeszcze stolarz wiejski, właściciel 2 ha ziemi, Breszko, w 1941 r. powiedział mi: „Teraz, człowieku, koniec z Hitlerem. Przegrał. A tu do nas przyjdzie Armia Czerwona i dopiero zrobimy porządek" — brzmiało to wtedy, przyznajcie, niecodziennie. Nie mówiąc już, że proroczo. A tak mówił nie jeden Breszko. Wtedy na dobre zrozumiałem, że chłop może być rewolucjonistą i nie tylko sojusznikiem proletariatu fabrycznego, ale partyjnym, bojowym towarzyszem.

Widziałem potem tych ludzi w akcji, w lesie, w kolportażu, w robocie społecznej dokonywanej pod nosem okupanta. Widziałem, jak w ciężki czas niewoli faszystowskiej nielegalnie, kradnąc sprzęt niemiecki, elektryfikowali wieś, widziałem, jak organizowali swój wiejski szpital, widziałem, jak tworzyli, prowadzili, wyrywali z rąk „londyńsko-akowskich" spółdzielnie spożywców.

Widziałem, jak bronili prześladowanych, gonionych Żydów, jak zwalczali NSZetowskich bandytów, jak potrafili swoją postawą zarazić, a w najgorszym wypadku obezwładnić i zmusić do posłuchu — miejscową inteligencję.

Potem, po wyzwoleniu, widziałem, jak organizowali administrację, milicję, wszystko, włącznie z jednym chyba z pierwszych w Polsce wcale nie uroczyście, a po cichu zakładanym radiowęzłem — na Kruku. Takie były etapy poznawania wsi.

SPRAWY POKOJU

I pamiętam jeszcze to:

Styczeń 1945 r. Pierwsze zebranie nowych sołtysów z udziałem wójta i przewodniczącego gminnej rady narodowej. Na porządku dziennym stoi sprawa leżących po polach trupów niemieckich żołnierzy. Ktoś proponuje, by zakopać ich do wspólnej, bezimiennej mogiły.

I wtedy głos zabrał wójt, stary działacz robotniczy, chłop z jednej z gromad w Suchedniowie. Do dziś pamiętam jego słowa:

„Wojna się kończy. Wśród tych zabitych żołnierzy byli chłopi i robotnicy, byli może tylko ogłupieni, biedni ludzie. Trzeba im wybaczyć po śmierci, tak, jak napewno przyjdzie dzień wybaczenia żyjącym, którzy po klęsce Hitlera, napewno będą chcieli budować inne, lepsze Niemcy. Nie przebaczymy hitlerowcom, przebaczamy Niemcom, robotnikom, chłopom, bo nie jesteśmy faszystami. My mamy budować pokój, a nie siać wojnę. My mamy tworzyć przyjaźń, a nie nieić nienawiść. Sołtysi uczciwie pogrzebią zabitych, zdejmą blaszki rozpoznawcze, odniosą do gminy, a na grobach dadzą tabliczki z nazwiskami. Ci ludzie mają przecież rodziny".

To był rok 1945. Rok wytłumaczalnej boleściwej nienawiści. A jednak już wówczas polski chłop rozumiał prawa historii, rozumiał sprawę pokoju i braterstwa między ludami, rozumiał co to socjalizm, rozumiał czym był faszyzm.

Dziś rozumieją to jeszcze lepiej, głębiej i piękniej. Barwnie wyglądają na ciemno-zielonym tle lasów Swiętokrzyskich, na fioletowym tle dalekich gór — czerwone sztandary partyjne niesione rok rocznie w pochodzie 1-szo Majowym w Suchedniowie.

Barwnie wyglądają czerwono--czarne zapaski kobiet, białe koszule mężczyzn. Barwnie wyglądają zielone, niebieskie, różowe wieńce zieleni. Barwnie wyglądają opalone ręce chłopskie splecione w braterskim uścisku tych towarzyszy z PZPR, i tych spod zielonych sztandarów ZSL.

Nie będę w tym roku, choć chciałbym, w dniu 1-go maja w Suchedniowie, ale wiem, jestem pewny, że nie będzie tam w masie ludzkiej człowieka, który by nie rozumiał, nie czuł, nie kochał słowa: Pokój, słowa: Postęp, słowa: Socjalizm.

Tak jak w całej pracującej, walczącej Polsce.

Kazimierz Dębnicik

Siadłem do mojej pracy konkursowej. Ma ona wiele błędów. Opracowana jest pośpiesznie. Ciąży na niej balast zbędnej literackości. Nie umiem się jeszcze wgryźć w psychikę, zrozumieć dobrze podejście robotnika i chłopa, choć z ekipami jeździłem nie raz.

Ale właśnie praca ekip zainteresowała mnie najbardziej.

Nie dla wdzięcznej tematyki. Nie dla możności zestawienia dwu światów, dwu klas. Ani nawet nie dla uwypuklającej się wyraźnie walki klasowej na samej wsi w wypadkach takich odwiedzin.

Pomijając wszelką publicystykę — odwiedziny ekipy robotniczej na wsi uważam za najbardziej **dramatyczny i najbardziej znamienny dla naszej epoki fakt.**

Członkowie jury ocenili, że często autorowie pierwszych nagrodzonych prac traktowali swoje wsie w oderwaniu od świata, jak gdyby były one wyspami na oceanie, odkrywanymi przez nowego Robinsona. Ocena była słuszna, zarzut nie do odparcia.

Przecież socjalizacja, a co za tym idzie, olbrzymi rozwój wsi polskiej nie byłby możliwy bez zdobycia władzy w Polsce przez **klasę robotniczą.** Przecież błędem niewybaczalnym wielu partii ruchu robotniczego, błędem luksemburgizmu było właśnie owo niedocenianie sojuszu robotniczo - chłopskiego. Przecież sama „Wieś", aby odzwierciedlić traf-

Śmieszna rzecz: życie wyprzedziło mój reportaż. Zanim dowiedziałem się o jego losach, przestał odmalowywać stan faktyczny, stał się poniekąd historycznym dokumentem.

Może do małej wsi — Ruska przyjedzie kiedyś jakiś pisarz w ramach wielkiej akcji wyjazdów pisarzy w teren. Może dotknie ręką czerwonej cegły świetlicy, porozmawia z sekretarzem Partii, przyglądnie się życiu. Może chłopi mu opowiedzą o tych miesiącach trudnej walki, o trudnych miesiącach zimowych, kiedy Rusko brało kurs na socjalizm.

A może pozostanie to wszystko tajemnicą. I właśnie wtedy najskromniejsze reportaże, dokumenty walki i poświęcenia, staną się pomnikiem dla ofiarności pierwszej ekipy robotniczej z Wrocławia, która ruszyła w grudniowy, niedzielny ranek w wielkie nieznane.

Jeśli mówimy kiedyś o romantyźmie naszych czasów — tu przejawia się on najjaskrawiej. Romantyzm twórczy, bo odsłaniający przyszłość i tworzący nowoczesnych bohaterów. Jeśli na wszystkich odcinkach i we wszystkich zagadnieniach konkurs „Wsi" przyniósł takie dokumenty epoki — reportaże — to, niezależnie od prób znalezienia nowej metody i nowego stylu pisarskiego, niezależnies od nowej tematyki — spełnił on już swoje wielkie zadanie.

Leszek Goliński

Delegacja PZPB nr. 17 z Łodzi na uroczystościach w Rawie

Powyżej zamieszczamy wypowiedzi autorów, którzy nadesłali swe prace na konkurs „Wsi"

STANISŁAW TAZBIR

Z zagadnień ruchu bibliotecznego

PRZED NAMI TEREN

NA DYSTANSIE 85 KM.

Podróż, z której chcę tutaj podać moje spostrzeżenia, była bliska, zajęła mi tylko dwa dni i odbyła się na przełomie marca i kwietnia. Przynosi więc relacje całkiem świeże. Była ona — gdy chodzi o wyjazdy — dwurazowa i okolicznościowa, jednak bynajmniej nie przypadkowa dla spraw, które będą omawiane. Raczej mógłbym powiedzieć, że przeciwnie, była najściślej związana z moimi zainteresowaniami w dziedzinie czytelnictwa. Tak się złożyło, że musiałem ją odbyć w wyznaczonym mi kierunku, który określał, jako końcowy punkt wyjazdu jedno z powiatowych obecnie miast Polski, w odległości mniej więcej 85 km od stolicy.

Takich tras, jak droga mojej podróży, można by wytyczyć od Warszawy we wszystkich kierunkach — przynajmniej kilkanaście. Gdyby odbyć po nich bodaj najkrótsze wycieczki, zebrałoby się niewątpliwie wiele charakterystycznego i bardzo przydatnego, a przede wszystkim porównywalnego materiału. To, że przedstawiam obserwacje tylko z jednej trasy i z krótkiego „wypadu" jest słabą stroną tego artykułu, z czego, rzecz jasna, zdaję sobie sprawę. Dalej, chcę jeszcze zaznaczyć, że dobrze rozumiem, iż wartość moich spostrzeżeń mogłaby należycie być sprawdzona i wybitnie by wzrosła dopiero wtedy, gdyby trasy, o których wspominam i podróże podobne do mojej zostały przedłużone aż do krańców kraju.

Ograniczając przez powyższe zastrzeżenia wagę tych obserwacyj do właściwej miary, mimo to sądzę, iż można je uznać na ogół za wystarczające, jako realne, choć szkicowo tylko zarysowane tło pod zjawiska i sprawy, które pragnę dalej uwypuklić. Opieram to przedświadczenie na tym, że województwo warszawskie, którego teren trasa moja przecinała, przedstawia jak mi się wydaje obraz średniej jakości w zakresie stosunków ogólnych i tych specjalnych, które nas tutaj interesują.

Powiat i jego miasto główne, których odwiedziny były celem moich dwóch wyjazdów uważam również za dość przeciętne jeśli chodzi o ich „fizjonomię" ogólną i tzw. nastroje.

Według danych, które udało mi się zebrać, częściowo tylko ścisłych, a w innych kwestiach z konieczności przybliżonych, powiat zajmuje obszar 1.354 km² (w tym 55 proc. gruntów rolnych i 14,5 proc. lasów) i posiada około 140 tysięcy mieszkańców. Ma oprócz miasta powiatowego 2 miasteczka, liczące niewiele ponad 2 — 3 tysiące ludzi każde i 22 gminy wiejskie, skupiające ogółem 400 (czy 396) gromad. Ziemia w powiecie w większości gliniasto-piaszczysta, jest niezbyt urodzajna. Gleby powyżej średniej jakości mają tylko 4 gminy, poniżej — również 4. W różnych miejscach powiatu występują wartościowe glinki, przydatne, zdaniem znawców, do wyrobów ceramicznych, o których produkcji myśli się w ramach Planu 6-letniego. Przed wojną powiat posiadał garbarnię, młyny, fabryki wyrobów cementowych i ceramicznych, wag, kłódek, mydła, wódek, hutę szklaną oraz handel bydłem i ziemiopłodami.

W okresie planu 3-letniego przemysł częściowo ruszył, montuje się dalej i ma nadzieję na odpowiedni, planowy rozwój w okresie najbliższego 6-lecia. Wiąże się z tym, naturalnie, także rozwój odpowiedniego budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego.

Miasto główne liczy ponoć około 35 tysięcy mieszkańców, należy więc do naszych największych miast powiatowych. Jest mimo to dość nieruchawe i nic nie pomaga, ani, że leży ono niezbyt daleko od Stolicy, ani to, że umiejscowił się w nim od dawna węzeł kolejowy.

TROCHĘ LICZB OGÓLNYCH

Cóż na tle tego pobieżnie szkicowanego stanu rzeczy pod względem administracyjno - gospodarczym da się powiedzieć o liczbach, rzucających jakieś światło na istniejące w powiecie stosunki oświatowe, kulturalno - społeczne i w szczególności biblioteczno - czytelnicze?

Powiat posiada w mieście głównym 10 szkół średnich różnego typu i 10 podstawowych, a poza nim w miasteczkach i gminach 130 szkół powszechnych, w czym około 40 jednoklasówek. Nauczycieli we wszystkich szkołach jest ogółem około 600, z czego na szkolnictwo powszechne przypada blisko 460 osób. Spora grupa nauczycieli, jak mi mówiono „sam kwiat", rozproszyła się w swoim czasie po Ziemiach Zachodnich, a spośród obecnych około 100 osób uzupełnia jeszcze w toku pracy swoje formalne kwalifikacje pedagogiczne. Są nieliczne jeszcze przedszkola, w tym 4 w mieście powiatowym. Punkty radiofoniczne (radiowęzeł w mieście powiatowym) rozwinięte są dotychczas słabo, kino — również.

Co się tyczy działalności kulturalnej Powiatowego Związku Samopomocy Chłopskiej i Powiatowej Rady Związków Zawodowych, to opiera się ona, o ile można było ustalić, głównie na świetlicach, których życie na terenach wiejskich podtrzymują w miarę możności Koła ZMP. Świetlic wiejskich możnaby się doliczyć „na upartego" około 36, ale Zw. Samopomocy Chłopskiej mówi poważnie tylko o 15. Koła Związków Zawodowych przy zakładach pracy wskazują na razie około 12 świetlic, prawie wyłącznie w mieście powiatowym.

Rozwodzić się na temat żywotności świetlic czy poziomu pracy najlepszych z nich byłoby tutaj nie na miejscu. Ogólnie więc tylko można stwierdzić, że poza działalnością kolejarzy i 4 — 6 świetlic wiejskich praca świetlicowa nigdzie nie zapewniła sobie niezbędnych warunków rozwoju wobec czego pozostawia ona wszędzie wiele jeszcze do życzenia.

Znacznie korzystniej przedstawia się w całym powiecie sprawa księgozbiorów w bibliotekach tzw. powszechnych. W mieście powiatowym znajduje się biblioteka miejska, liją na razie około 12 świetlic, prawie cząca około 15 tysięcy tomów i biblioteka powiatowa, obsługująca tereny wiejskie. W 19 gromadach wiejskich istnieją pod opieką świetlic niewielkie księgozbiory „miejscowe" fundowane głównie przez Zw. Sam. Chłopskiej (obejmują one niewiele ponad 2 tys. tomów). Koła Zakładowe Zw. Zawodowych wykazują prawie we wszystkich świetlicach różnej wielkości księgozbiory „własne", niekiedy dość pokaźne (1300 — 1500 książek). Każda gmina wiejska posiada gminną bibliotekę powszechną; księgozbiory tych bibliotek powstały z dotacyj Ministerstwa Oświaty. Oprócz nich, w oparciu o bibliotekę powszechną i częściowo o biblioteki gminne założono w 80 gromadach wiejskich tyleż punktów bibliotecznych. Z porównania ogólnej liczby gromad z liczbą punktów wynika, iż na 5 gromad wiejskich przypada 1 punkt biblioteczny (dla porównania z siecią świetlic: 1 świetlica „rejestracyjnie" — na 11 gromad, w rzeczywistości — na 26 gromad). Wedle danych z marca br. we wszystkich bibliotekach gminnych i punktach bibliotecznych znajdowało się 19.621 tomów, co stanowi łącznie z książkami „miejscowymi" we wspomnianych wyżej 19 gromadach 21.726 tomów. Daje to przeciętnie **1 książkę na 5 mieszkańców wiejskich.** W porównaniu z tym stopień zaopatrzenia w książki mieszkańców miasta powiatowego wyraża się stosunkiem: **1 książka na ca 1 i pół mieszkańca.**

„UŻYTKOWNICY" KSIĄŻKI

Oczywiście, powyższe dane nic jeszcze nie mówią o rzeczywistych użytkownikach książki „powszechnej", a więc o tym, co było by jedynie miarodajne dla oceny stopnia rozwoju czytelnictwa. Zebranie danych, dotyczących tego najistotniejszego zagadnienia nastręczyło w omawianym powiecie, podobnie jak nastręcza zapewne w całym kraju trudności wobec których nawet najwnikliwszy badacz jest niemal całkowicie bezradny. Bo jak zachować się wobec relacyj, z których jedna (władze szkolne) określa liczbę czytelników w marcu w całym powiecie (poza miastem powiatowym) na około 10 tysięcy, gdy druga (Z. S. Chł.) — wyraża ją w liczbie 2.264 czytelników w gminnych bibliotekach i punktach bibliotecznych oraz w liczbie 369 czytelników, korzystających z księgozbiorów „miejscowych" (przy świetlicach)?

Sądzę, że wiarygodniejsze są liczby ostatnie. Mówiły by one zatem, że niespełna 3 tysiące osób korzysta z z książki „publicznej", co daje mniej niż 3 proc. w stosunku do ogółu mieszkańców wiejskich. A więc, gdy widzieliśmy wyżej, że 1 książka przypada „teoretycznie" na 5 mieszkańców, to „praktycznie" **tylko 3 ludzi na 100,** należy do użytkowników księgozbiorów znajdujących się obecnie na terenach wiejskich powiatu.

Trzymając się dalej powyższych, niestety, niepewnych relacyj, trzebaby przyjąć, że owa liczba niecałych 3 tysięcy czytelników miała w swych rękach (wypożyczyła) w marcu 8 i pół tysiąca książek. Gdyby tak było, przypadałoby **mniej więcej 3 wypożyczalnie** na osobę w miesiącu. Świadczyłoby to o dużej intensywności czytelnictwa wśród tych, którym książka jest bliska. Ale w rozstrząsaniach powyższych liczb i wskaźników należy zachować wielką ostrożność. Należy ją zachować i w tym przypadku i w ogóle, ponieważ brak dotąd odpowiednich badań szczegółowych i ogólniejszych, a sprawozdawczość sama w zakresie biblioteczno - czytelniczym bardzo jeszcze szwankuje

Niemniej i w świetle powyższych rozważań i na podstawie różnych innych obserwacyj narzucają mi się następujące wnioski w stosunku do całości zagadnienia: 1) **„krążenie" książki tzw. publicznej jest słabe, 2) inwestycje państwowe, poczynione w dziedzinie bibliotecznej na przełomie 1948/49 roku nie są dotychczas nigdzie dostatecznie eksploatowane, 3) należy znaleźć przyczyny tego stanu rzeczy i usprawnić „obieg" książki.**

O RUCHU SZKOLENIOWYM

Gdy w gospodzie powiatowego miasta znalazłem się po raz pierwszy, zastałem przy śniadaniu sporą grupę kursistów, złożoną, jak przypuszczam z kolejarzy. Ludzie młodzi (najstarszy mógł mieć niewiele ponad 30 lat), sprawni, kulturalni, przyjacielsko-swobodni wobec siebie. Szybko spożyli posiłek i szybko opuścili lokal, śpiesząc widocznie do pracy. Gdy zapytałem podającego mi kawę (kawy „prawdziwej" w tym czasie w Warszawie „nie było"), czy często nawiedzają gospodę „stołownicy" — podobni do tych, którzy wyszli, otrzymałem odpowiedź, że w tym dniu była to już trzecia grupa. Po tym dowiedziałem się, że obok akcji szkoleniowej nie brak także w powiecie zjazdów, odpraw i różnych zebrań wyborczych.

Zatem odbywa się — i to na pewno w każdym powiecie — intensywna praca organizacyjno - szkoleniowa, aktywizująca liczne rzesze wybitniejszych jednostek spośród mas robotniczych i chłopskich. Czyż może to nie napawać wielkim optymizmem? Musi napełniać radością każdego działacza, zwłaszcza gdy się założy, że pracy tej będzie towarzyszyć coraz większa planowość i starannie przemyślana programowość.

Gdy o tych sprawach myślę, odczuwam, niestety, obawę, że w dziedzinie ruchu biblioteczno - czytelniczego, a nawet w całej dziedzinie kulturalno - oświatowej mamy w zakresie szkolenia, zwłaszcza kadr ochotniczych, ogromne opóźnienia i zaległości. Dostrzega się to łatwo i stale i niemal na każdym miejscu. Stąd częste, choć może niekiedy nadmierne, utyskiwania i wołanie o pomoc.

Byłem tego świadkiem na Zjeździe działaczy ochotniczych pracowników świetlicowych, zorganizowanym przez Zw. Samopomocy Chłopskiej. Po tym potwierdziło się to samo na niedużej konferencji przedstawicieli świetlic Związków Zawodowych.

Na Zjeździe było około 40 osób: przedstawiciele wsi, sporo młodzieży, kilku nauczycieli. Na konferencji związkowców — kilku działaczy i również młodzi ze świetlicą. Ze wszystkiego było widać, że chętnych kandydatów do rzetelnej pracy kulturalno-społecznej nie brak i że jest zapał. W postawie wewnętrznej, ogólnie biorąc, nawet w najmłodszych, nie odczuwało się bezradności. Z wypowiedzi wynikało, że i najmniej wyrobieni nie są bez inicjatywy i radzą, jak umieją i mogą, aby coś do czegoś złożyć i pobudzać innych do współpracy. Nie było tej znanej dawniej troski, co to „frasunek" marszczy czoła. Owszem, widziało się ściągnięte brwi, ale jakimś takim „gospodarskim" skupieniem. Czuło się powagę i rzeczowość w słowach, oraz właściwe odczuwanie, a nawet rozumienie istoty spraw omawianych. Czego brakowało u ludzi — poza nauczycielstwem i działaczami i do czego szczerze się przyznawano, to zaprawy w pracy, a więc i niezbędnego doświadczenia, a przede wszystkim dokładniejszej znajomości rzeczy, którą daje nabyta w szkole lub z książek umiejętność. Nie wymawiano się i nie usprawiedliwiano trudnościami, ale proszono o rady. Nic nie świadczyło, że ktoś chce opuścić stanowisko albo wyręczać się innymi. Zdradzali ludzie upór, chęć wytrwania i mocowania się z trudnościami. O nowych rzeczach mówili spokojnie, jak o zadaniach, których się nie unika, ale które trzeba starać się dobrze wykonać, jeśli ma być lepiej. Dlatego zwracali się o rady. Do kogo? Do wszystkich, na których, jak im się zdawało, mogą liczyć. Przede wszystkim do nauczycieli. Zwróciliby się na pewno i do bibliotekarzy, gdyby ci byli, bo szło im o książki, o zespoły czytelnicze, o szerzenie czytelnictwa w ogóle. Do książek zresztą i tu, jak i wszędzie, przebijał w wypowiedziach żywy sentyment. Taki, jaki się ma do kogoś, kogo się lubi, szanuje i komu się wierzy; kto może dać dobrą radę, gdy się o nią zwrócić i umilić życie, gdy się ma ochotę oderwać od zwykłych, codziennych zajęć.

Gdy przewodniczący, poważny, o suchej budowie, pewnie z 50 lat liczący chłop, dość wyrobiony, zamykał Zjazd, wołał: „Damy sobie wreszcie radę, ale pomóżcie nam. Pomóżcie przede wszystkim wy, nauczycielstwo, wszędzie, gdzie jesteście. Bo do was zwłaszcza młodzież ma zaufanie, nieraz większe niż do nas. Więc pomóżcie". Tym apelem kończył się Zjazd.

A cóż nauczyciele? Ci co byli na sali, oczywiście, pomagają, wkładają wiele pracy. Wynikało to nie tylko z ich sprawozdań, ale i ze stosunku ludzi do nich. Pomagają na pewno także inni. Ale i oni mają kłopoty i sprawy, które nieraz utrudniają im, a nawet uniemożliwiają współdziałanie, czy choćby tylko roztaczanie opieki nad tym, co się dzieje w zakresie kulturalnym wsi. Pochłania ich szkoła, absorbuje walka z analfabetyzmem, sprawy rodzinne, słowem — różne zawady stoją na przeszkodzie.

Moim zdaniem, w dalszym rozwoju prac oświatowo - kulturalnych, a szczególnie, gdy idzie o ruch biblioteczno - czytelniczy, nauczycielstwo mnożącym się zadaniom nie podoła. Za wiele od niego chcemy wymagać, za często się na nie oglądamy. Nie powinno się sił jego i energii nadmiernie rozdrabniać. Trzeba przyśpieszać i rozszerzać rekrutację kadr ochotniczych i przy nich pomoc nauczycielstwa w sposób najwłaściwszy — spożytkować. Mam tu na myśli przede wszystkim rolę nauczycielstwa, a z kolei i bibliotekarzy — w upowszechnianiu czytelnictwa.

AKTYWIŚCI

Idzie mi przede wszystkim o aktywistów dla potrzeb czytelnictwa, jeśli ma ono być „masowe".

J. Stalin czujną i pilną uwagę zwraca ciągle na zagadnienie „aktywistów" we wszelkich dziedzinach życia radzieckiego.

Rezultatem tej ustawicznej troski Wielkiego Wodza Związku o wychowanie kadr przodowniczych przy pomocy Partii i opiece Rządu, w oparciu o planowość w działaniu i przy niestrudzonym dążeniu mas do coraz większych i wyższych osiągnięć jest między innymi to, że Związek Radziecki może się dziś poszczycić w dziedzinie społeczno - ochotniczej działalności kulturalnej (w tym ruchu biblioteczno - czytelniczego) takimi zdobyczami, które świat zadziwiają. Wystarczy dla ilustracji podać niektóre dane, charakteryzujące pod tym względem działalność potężnych radzieckich Związków Zawodowych. Oto liczby: 300 pałaców i domów kultury (w tym imponujący pałac im. Kirowa w Leningradzie, Pałac Moskiewskich Zakładów Samochodowych, Dom Kultury fabryki „Czerwona Zorza" w Taszkiencie itp.), 7500 czynnych Klubów Związkowych, 75 tysięcy „czerwonych kącików", 10 tysięcy chórów, 3 tysiące orkiestr, 5 tysięcy Kół dramatycznych, 2 tysiące brygad agitacyjnych itd.

Do tego dodajmy: parki kultury i wypoczynku, instytucje biblioteczne, organizacje kulturalne dla dzieci i inne.

Świadectwem przenikania działalności związkowej do najdalszych ośrodków, stałych i czasowych są: specjalne statki agitacyjne, pociągi-kluby, wagony-kluby, a nawet prowizoryczne „kioski kultury".

O zasobach i zasięgu akcji biblioteczno - czytelniczej Związków można powziąć należyte mniemanie, gdy się zważy, że np. Gorkowska Fabryka Samochodów rozporządza w swym klubie 105 tysiącami książek, Czelabińska Fabryka Traktorów — 80 tysiącami, Moskiewska fabryka łożysk kulkowych — 120 tysiącami książek itd.

Dodawszy do tego ogromne wysiłki i wyniki pracy kulturalno - oświatowej w państwowych gospodarstwach kolektywnych — otrzymamy obraz zaiste imponujący. Czy byłby on do pomyślenia bez czynnego, wydajnego, pełnego zapału — uczestnictwa i ofiarnej pracy wielu setek tysięcy „aktywistów" większej i mniejszej miary, w zależności od rodzaju zadań i skali potrzeb organizacyjnych?

Co się tyczy stanu rzeczy u nas, w Polsce, to wiadomo: jesteśmy dopiero na początku drogi. Ale tym bardziej winniśmy wykorzystać doświadczenia, poczynione w Związku Radzieckim. Tym baczniejszą chyba należałoby zwrócić od razu uwagę — między innymi — także na sprawę odpowiedniego pod względem ilościowym i jakościowym przygotowania kadr różnego rodzaju przodowników. Próby, czynione w tym zakresie od kilku lat, niestety na małą skalę, upoważniają do twierdzenia, że kandydatów zdolnych i chętnych wystarczy. Trzeba jednakże i tutaj, jak we wszystkim dokładnego planu i konsekwentnego wykonania. Wydaje się, że sprawa wygląda najpilniej, choć może nie najtrudniej, w zakresie potrzeb świetlicowych i ruchu biblioteczno - czytelniczego.

Stanisław Tazbir

Wacław Dobrowolski — Walka z analfabetyzmem
Z Ogólnopolskiej Wystawy Plastyków — fot. I. Piotrowicz

Członkowie spółdzielni produkcyjnej im. gen. K. Świerczewskiego czytają numer „Gromady" poświęcony rocznicy Jego zgonu.

Przekład EWY FISZER

NAZIM HIKMET

PADA ŚNIEG

poemat o Hiszpanii napisany w 1937 roku.

Nie słuchać mi głosu z góry,
Nie zamykać w tkaninie linijek
niewypowiedzianych rzeczy,
Nie szukać mi rymów jak Orfeusz,
Pięknych słów, sławy wielkiej...
Bogu niech będą dzięki, dziś wieczór
jestem ponad tym
jestem ponad tym wszystkim.

Dziś wieczór
jestem śpiewakiem ulicy
I nic sztucznego nie ma
W głosie śpiewaka ulicy,
Choć ty go nie usłyszysz,
Mimo że dla ciebie śpiewam.

Śnieg pada,
Noc wisi,
Stoisz u wrót Madrytu
Masz przed sobą całą armię miast,
Która zabija wszystko to,
co mieliśmy najpiękniejszego:
Nadzieję, tęsknotę, wolność, dzieci
i pokój.

Pada śnieg,
Zimno ci pewnie dziś wieczór
w przemokłe stopy.

Pada śnieg,
może właśnie w tej chwili
kula twe serce stalowe
topi.
Więcej śniegu, więcej wiatru,
abyś nie czuł.

Pada śnieg,
Wisi noc.
Ty, który mówisz „No pasaran" dziś
U wrót Madrytu.

Istniałeś przedtem,
kim jesteś, skąd przychodzisz?
Może z kopalni Asturii,
Może odniosłeś rany na Północy
I łachman skrwawiony
je okrywa,

Może to z karabinu twego
Padła ostatnia kula
kiedy junkrzy palili Bilbao,
A może byłeś wyrobnikiem
Na fermie pewnego hrabiego
Fernanda Walescero de Cartolan?

A może na Puceta del Sol
we własnym sklepiku
Sprzedawałeś owoce o żywych
kolorach sztandaru Hiszpanii?
Może nie miałeś zawodu,
Miałeś może piękny głos,
Może byłeś studentem
I twe książki wloką gąsiennice
italskich czołgów,

Może nie wierzysz w niebo
A może nosisz na szyi
Krzyżyk zawieszony na nitce?
Kim jesteś, jak się nazywasz, ile lat liczysz sobie?
Nie widziałem, nie zobaczę nigdy twej twarzy,
Kto wie, może przypomni tych co pobili Kołczaka,
Lub tych co padli w Dumlupinarze,
A może jak sam Robespierre jesteś srogi?
Nie znasz mego imienia i nie usłyszysz go nigdy.
Pomiędzy nami są morza
Góry i moja przeklęta
Bezsilność.

Jest Komitet. Nie-in-ter-wen-cji.
U twego boku stanąć mi nie wolno
I posłać tobie mi nie wolno
ani skrzynki nabojów,
ani jaj świeżych,
ani nawet ciepłych skarpet z wełny.
A przecież wiem, że twe stopy
U stóp Madrytu w ziemię wryte
Marzną jak dwoje dzieci
Nagich.

I wiem także,
że wszystko, co istnieje,
wielkie i piękne,
Że wszystko, co człowiek odnajdzie wielkiego i pięknego,
To znaczy wszystko to, czego ja
ogromną tęsknotą się spodziewam,
Śmieje się w oczach mej warty
u wrót Madrytu.
I wiem, że wczoraj, jutro, a także dzisiejszego wieczoru
Nic prócz ciebie nie mogę kochać.

EDMUND NIZIURSKI

PRÓBA CHARAKTERÓW*)

Sądzę, że lekturę radzieckich powieści o wojnie należy zaczynać od „Białej Brzozy" Michaiła Bubiennowa. Nie tylko dlatego, że krytyka radziecka uznała ją za jedną z najlepszych, ale i dlatego, że powieść ta jest swojego rodzaju propedeutyką zagadnień Wojny Ojczyźnianej.

Bubiennow postawił sobie ambitne zadanie przedstawienia pierwszej i, jak się później okazało, decydującej fazy wojny; rysuje on drogę odwrotu armii radzieckiej, jesienią 1941 — *odwrotu wygranego*, gdyż był on zarazem drogą, jaką przebył człowiek radziecki od pozycji „zwykłego" cywila do zaszczytnej pozycji bohatera spod Moskwy i Stalingradu. W ten sposób znaną nam już z innych powieści radzieckich o wojnie problematykę służby: obowiązku, poświęcenia i walki ze strachem pogłębia Bubiennow przez jeden zasadniczy problem, który w wymiarze masowym nosi nazwę: zwycięski odwrót, a sprowadzony do wymiaru indywidualnego brzmi: narodziny żołnierza.

„Nasz odwrót w październiku — mówi jeden z bohaterów powieści — historycy będą studiowali ze zdumieniem i z takim zainteresowaniem, z jakim studiuje się operacje zaczepne".

W „Białej Brzozie" odwrót ten oglądamy zarówno od strony wsi radzieckiej jak i cofającej się Armii Czerwonej. Do tego celu posłużyły autorowi dwa wątki organicznie z sobą powiązane. Jeden to dzieje osobiste Andreja Łopuchowa i jego pułku, drugi to dzieje rodzinnej wioski Andreja — Olchówki i jego najbliższych: żony Marijki i ojca Jerofija Kuźmicza. Punktem stycznym obu wątków jest moment postoju oddziału Andreja w Olchówce.

Obraz kreślony przez Bubiennowa jest obrazem skończonym; nie dlatego, by autor śledził poruszenia całego frontu i po kronikarsku „wiernie" kopiował złożoną rzeczywistość odwrotu w każdym jej szczególe, ale dlatego, że pokazał istotną i typową w tym okresie postawę radzieckich ludzi. Autor nie ustępuje przed „naporem" rzeczywistości wojennej i bogactwem faktów i zdarzeń, z którym nie wszyscy pisarze radzieccy umieli sobie poradzić. Ogranicza liczbę postaci powieściowych, wprowadza na scenę głównego bohatera. „Biała Brzoza" nie przypomina już reportażu jak wiele powieści radzieckich tego rodzaju, mimo, że jej autor także czerpał materiały z własnych doświadczeń. Jest to powieść w klasycznym tego słowa znaczeniu. Wszędzie widać w niej silną rękę artysty starannie selekcjonującego materiał i z pełną świadomością przebierającego w środkach ekspresji.

Jeszcze jedna cecha podnosi wartość książki Bubiennowa. W „Okopach Stalingradu", w „Kurhanie Mamaja", w „Dniach i Nocach" osobowość żołnierza ujęta jest w zasadzie statycznie. Momenty tak charakterystyczne i cenne dla pisarza, jak przemiana cywila w żołnierza i „aklimatyzacja wojenna" są tam bądź zepchnięte na plan dalszy, bądź zupełnie pominięte. Mamy tam do czynienia nie tyle z żołnierzami ile z wiarusami. Być może takie ujęcie usprawiedliwia faza wojny. Akcja tych powieści rozgrywa się w *drugim* roku wojny. Bubiennow, podobnie jak Bek w „Szosie Wołokołamskiej, przedstawia żołnierza w *pierwszej fazie wojny*, a więc jeszcze *„cywila w mundurze"*. Autor postawił sobie za zadanie uchwycenie na gorąco przekształcania postawy człowieka radzieckiego przez warunki wojenne. Interesują Bubiennowa zakłócenia rytmu życia obywatela przez wojnę oraz problemy i konflikty, jakie w związku z tym się wyłaniają. Wyłapuje on i artystycznie wygrywa to *przestawianie się na nowy, wojenny ład*, o którym mówił Stalin w sławnym przemówieniu z dn. 3 lipca 1941 roku. Pokazuje edukację przyszłych bohaterów Moskwy i Stalingradu. Pokazuje jak dochodzą do głosu utajone cechy charakteru ludzi radzieckich, jak te charaktery uwypuklają się i krzepną w ogniu wojny.

Lecz w „Białej Brzozie" wojna nie tylko uwypukla charaktery.

Ona je także *różnicuje*. Wojna działa na charaktery jak kwas na papier lakmusowy: ludzie w warunkach pokojowych pozornie „jednej miary" i równie „bezbarwni", objawiają się nagle jako typy krańcowe. Bubiennow pokazuje jak pod dotknięciem tej samej różdżki wypadków jedni stają się bohaterami, inni oportunistami i zdrajcami.

Według jakiego „rozdzielnika" odbywa się to różnicowanie moralne? Autor nawiązuje do przeszłości postaci powieściowych. To warunki i środowisko, w którym się obracali, rozwinęło u nich pewne cechy i skłonności. W chwili wybuchu wojny cechy te były w mniejszym lub większym stopniu utajone, dzięki „znormalizowanemu" życiu przedwojennemu. Dopiero wojna wydobyła je na wierzch i wojna pogłębiła je, a przez to zróżnicowała i różnicuje dalej, w miarę jak sytuacja staje się trudniejsza, w miarę jak więcej od człowieka się wymaga.

Głównego bohatera powieści Andreja Łopuchowa poznajemy jako nieśmiałego, łagodnego chłopca, przygnębionego rozwojem sytuacji na froncie. Sytuację tę pokazał nam Bubiennow oszczędnie używając środków literackich od *wewnątrz*. Nie przez roztaczanie zbiorowych scen z masą ludzi i sprzętu, lecz przez przedstawienie, jak obraz odwrotu załamywał się w psychice przeciętnego żołnierza — za pomocą paru charakterystycznych rysów zachowania się Andreja.

„Andrej wyobraził sobie nie wiadomo czemu, że ich batalion zabłądził wśród wiatru, jęku i huku. Otarłszy twarz furażerką krzyknął:

— Czy my idziemy... tam, gdzie trzeba?"

Dalej zaś czytamy:

„...Znajdowali na drodze pogubione części ekwipunku wojskowego: karabiny, granaty, plecaki, maski przeciwgazowe, hełmy... Andrej odczuł nagle chęć, żeby to wszystko pozbierać. Wkrótce dźwigał już na plecach pokaźny ładunek. Ujrzawszy go z tym ciężarem Matwiej Jurgin przystanął na chwilkę i ze zdziwieniem zapytał:

— A to... po co dźwigasz?

Andrej zwalił na ziemię stertę zniszczonej broni i amunicji, długo na nią patrzał i dziwiąc się sam, że mógł nieść taki ciężar, powiedział z wyrzutem w głosie:

— Rzucają... tyle cennych rzeczy!"

Dla spotęgowania dramatyczności sytuacji autor wytyczył trasę odwrotu przez rodzinną wioskę Andreja — Olchówkę. Tu Andrej z pomocą dzielnej Marijki opiera się namowom ojca, by porzucić wojsko. Potem wraz z pułkiem osłania przeprawę armii przez rzekę Wazuzę, zdobywa pierwszy chrzest bojowy, uczy się nienawidzieć wroga i walczyć do upadłego. Odcięty przez Niemców i rozproszony pułk skupia i organizuje na nowo kapitan Ozjerow, postanawiając kontynuować walkę i przebić się do swoich przez front. Przed przekroczeniem Wazuzy Andrej zawaha się po raz ostatni, jak Cezar przed Rubikonem. „Rzeka Wazuza — czytamy — była granicą dzielącą na dwie części nie tylko świat, lecz zarazem życie Andreja".

Andrej granicę tę przekroczył.

Rozstajemy się z nim jako pełnowartościowym żołnierzem, o niezłomnym charakterze. Nauczył się nie tylko walczyć, ale i zwyciężać. Edukacja skończona. Teraz może przyjść Stalingrad.

Czy jednak taka konstrukcja losu Andreja nie jest przypadkowa, czy autor nie nadużył praw swej wyobraźni? Czy w tych warunkach z równym prawdopodobieństwem nie mógł się Andrej załamać? Należy odpowiedzieć stanowczo: nie! Ten łagodny chłopiec jest przecież dzieckiem nowego, radzieckiego ustroju, wychowanym w warunkach socjalistycznych. One ukształtowały jego charakter. Andrej „nie mógł" inaczej postąpić bez narażania autora na konflikt z abecadłem realizmu socjalistycznego. Rzeczywistość nie potwierdziłaby innego rozwiązania problemu.

— „W naszych ludziach — mówi generał Borodin do Ozjerowa — za rządów radzieckich wyrobiły się nowe cechy: niezwykła wierność sprawie swego kraju, poczucie odpowiedzialności za losy świata".

Do wspaniałych charakterów powieści należy w pierwszym rzędzie sugestywna postać kapitana Ozjerowa, reprezentanta zespołu najpiękniejszych cech oficera radzieckiego. On jest duszą pułku. On podtrzymuje animusz bojowy żołnierzy własnym przykładem męstwa. Doskonała jest scena zebrania partyjnego komunistów, odbytego na deszczu i... bez protokołu, co tak oburzyło instruktora komórki partyjnej pedantycznego Woźniakowa. Autor podkreśla rolę komunistów jako elementu najbardziej zdyscyplinowanego, wytrwałego i uświadomionego oraz ich wpływ na życie całego pułku.

Bubiennow stworzył również niezmiernie żywą plejadę postaci drugoplanowych, jak rezolutny ordynans Łozniwoja Kostia, komiczny Umrichin, czy wzruszający komisarz Jachno. Wstrząsającym epizodem jest śmierć Diegtiariowa.

Na tle tych „prawdziwych ludzi" radzieckich tym ostrzej wypadły typy ujemne. Te same wydarzenia, które hartowały Andreja, wpłynęły demoralizująco na takie postaci, jak dezerterzy Łozniwoj i Jarcew lub dezerter in spe Olejnik. Jako klucz do rozszyfrowania tych ludzi podaje nam autor analizę ich przeszłości. Otóż okazuje się, że zdrajcami i tchórzami są ludzie, którzy utracili związek ze społeczeństwem, ludzie nie związani z klasą robotniczą i socjalistycznym budownictwem, ludzie, którzy trzymali się na uboczu procesów zachodzących w Związku Radzieckim, lub wręcz się im przeciwstawiali.

Olejnik to przestępca i zaprzysiężony wróg ustroju, tym niebezpieczniejszy, że dzięki swej przebiegłości i wyrachowaniu pozostaje niezdemaskowany.

Jarcew siedział przed wojną w więzieniu za spekulację.

Łozniewoj to znów typ inteligenta o „beznadziejnie zaplątanym życiu". Rozpieszczony i zepsuty jedynak, równie ambitny co nieudolny, wieczny malkontent, przez całe życie chwytał się „tymczasowych", zawodów, oczekując aż samo życie wyniesie go na należne mu miejsce i zaspokoi jego egoistyczne ambicje. „W kraju dokonywano gigantycznych dzieł, a on był zdala od tego; cały naród pracował wytrwale i zgodnie, a on niepostrzeżenie wyłączył się z kręgu wspólnych dążeń. Przyszedł czas, kiedy zrozumiał, że nie wybije się już nigdy i nigdy nie zostanie wielkim człowiekiem. Lecz ambicja nie pozwalała mu uznać tylko siebie za winnego tych niepowodzeń. Stworzył więc sobie naprędce teorię, że człowiekowi o wyjątkowych zdolnościach trudno jest wybić się w kraju, gdzie panuje jedna idea i wola zbiorowości".

Ten niedoszły wielki człowiek w czasie bitwy szaleje ze strachu i przy pierwszej wygodnej sposobności dezerteruje. Uwolniony z niewoli niemieckiej przez Marijkę nie skorzysta z ostatniej szansy, jaką jest wstąpienie do partyzantki mimo dobrego przykładu własnego ordynansa Kostii. Odtąd musi ponieść konsekwencje swego kroku i zapłacić za zdradę. Staje się łupem Jerofieja Kuźmicza, który za pomocą szantażu zmusza go do niewolniczej pracy przy pędzeniu bimbru. Wkrótce Łozniewoj osiąga dno upadku. Zostaje policjantem niemieckim i bierze udział w wymuszaniu kontrybucji od ludności.

*

Wola oporu i walki aż do zwycięstwa stężała nie tylko w żołnierzach, lecz także wśród ludności pozostałej w Olchówce. Kołchoz wytrzymuje próbę spoistości wewnętrznej. Próby rozbicia go nie powiodły się. W okolicy organizuje się oddział partyzancki. Stamtąd przewodniczący kołchozu Stiepan Bojarkin kieruje dalej życiem kolektywu. Pierwszym sabotażem przeciwko Niemcom staje się podpalenie stogów zboża. Sabotaż zwraca uwagę Niemców. Postanawiają wziąć się do Olchówki. Ich pierwszy „akt urzędowy" to — mianowanie „sołtysem" Jerofieja Kuzmicza Łopuchowa. Znów dotykamy zagadnienia konstrukcji losu.

Charakteryzyjąc Jerofieja Kuźmicza, Kostia porównał go bardzo plastycznie do ostu.

„Znacie osty, co rosną na polach? Kiedy się dobrze pole zaorze i wybronuje, to tych ostów nie widać. Ale niech tylko pole zostawi się bez doglądu — zaraz pójdą! I skąd się w nich bierze tyle siły? Pełzną po ziemi, rozrastają się, wszystko duszą!"

*) Michał Bubiennow: „Biała Brzoza", 1949. „Czytelnik".

(Dokończenie na str. 6)

MARCIN WIELGUS

„MIĘDZYNARODÓWKA ZDRAJCÓW"

Na światowym froncie walki o pokój szczególnie poważne zadanie stoi przed zwolennikami pokoju w krajach opanowanych przez imperializm amerykański.

Zadania te sprecyzował ostatnio Maurice Thorez na XII Kongresie Komunistycznej Partii Francji, mówiąc między innymi: „Najbardziej palące zadanie polega na tym, by przekształcić wszędzie dążenie do pokoju w walkę o pokój. W tym celu musimy najpierw wyjaśniać wciąż wszystkim, kogo oszukuje wróg przy pomocy kłamstw i oszczerstw, na czym polegają głębokie przyczyny niebezpieczeństwa wojny, związane z systemem kapitalistycznym. Musimy udzielać odprawy kampaniom oszczerstwa, dywersji i prowokacji, organizować bojkot filmowy, gazet, audycji radiowych, ugrupowań i poszczególnych jednostek, uprawiających propagandę wojenną."

Jednym z przykładów tej akcji jest głośna we Francji książka znanego publicysty Renaud de Jouvenela pt. „Międzynarodówka Zdrajców". *)

Książka Jouvenela zwraca się przede wszystkim do czytelnika za **„dolarową" kurtyną**, czytelnika uginającego się nieraz pod ciężarem antypokojowej propagandy oszczerstw prowadzonej przez „zmarshallizowaną" prasę, literaturę, radio, sztukę i film.

Pierwszym jej zadaniem jest więc odkłamanie atmosfery, w jaką imperializm pogrąża naród francuski — zdemaskowanie wielkiego spisku przeciwko pokojowi, odkrycie kulisów machinacji imperialistycznych w poszczególnych państwach europejskich a zwłaszcza w demokracjach ludowych.

Czy książka Jouvenela spełnia to zadanie? Tak świadczy o tym nie tylko jej popularność we Francji — lecz również ten „drobny" fakt, że zarówno autora jak i znanego krytyka francuskiego André Wurmsera, który zaopatrzył książkę w świetną przedmowę, pociągnięto do odpowiedzialności karnej za... „zniesławienie". (Tak wygląda w praktyce wolność prasy na Zachodzie). Widocznie cios wymierzony propagandzie imperialistycznej i podżegaczom do wojny był szczególnie celny.

Książka Jouvenela jest z wielu względów interesująca i dla czytelnika z krajów demokracji ludowej. Czytelnik nasz znajdzie w niej bodaj po raz pierwszy tak pieczołowicie opracowane kolekcje zdrajców i wnikliwie nakreślony schemat spisków.

Pokazując formy i maski spisku imperialistycznego na niepodległość krajów wyswobodzonych z niewoli kapitalizmu, Jouvenel zarazem przypomina, że obcięliśmy dopiero macki polipa zdrady, lecz sam polip żyje nadal. Imperializm zachodni pokonany na jednych pozycjach atakuje drugie, nie rezygnuje z walki — zmienia tylko metody, że **spisek przecwko pokojowi i demokracji trwa.**

Pokazanie tej **jedności spisku i międzynarodowej organizacji zdrady** jest główną zaletą książki Jouvenela.

W dziejach tego spisku już dziś wyodrębnić można dwie fazy w zależności od form walki.

W pierwszym okresie następującym bezpośrednio po wojnie, atak miał wszelkie cechy kontrrewolucji (zbyt łagodnie nazywanej „reakcją"), prowadzony był otwarcie, lub zza węgła ale zawsze z bronią w ręku, przygotowywał grunt dla „interwencji" anglosaskiej.

Ten właśnie okres jest tematem książki Jouvenela. W okresie drugim — reakcja rozbita w otwartym starciu przybiera nowe farmy walki. Stara się przeniknąć do partii robotniczych, rozsadzić je od wewnątrz, sprowadzić z drogi marksizmu-leninizmu. Charakterystycznymi cechami tej formy walki jest podstępność, skrytość, dywersyjność. Bolesław Bierut na listopadowym plenum KC PZPR określił ją jako „nową, na wielką skalę zakrojoną dywersję w obozie antyimerialistycznym, opierającą się na agenturze titowskiej". Tito, Kostow, Rajk a u nas Lechowicz i Dubiel oraz sprawa odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego Gomułki — to przykłady tej formy spisku.

* * *

Kim byli zdrajcy? Jouvenel pisze, że już ich przeszłość była rękojmią ich przyszłych czynów.

Petkow był kosmopolitą, który znaczną część życia spędził za granicą zdala od ruchu politycznego. Jego udział w ruchu oporu był więcej niż skromny. Cały kapitał polityczny, dzięki któremu doszedł do władzy wyniósł z bahaterskiej śmierci swego brata zamordowanego przez faszystów.

Janko Iwanow, szpieg w stroju pastora bułgarskiego już w 1939 r. pracował dla wywiadu amerykańskiego. Jego towarzysz Ziepkow był agentem Inteligence Service od 1932 r.

Znamienne są nici łączące szpiegów — pastorów bułgarskich z wielkim kapitałem. „Za każdą radą kościelną — czytamy w zeznaniach oskarżonych — stał jakiś magnat finansowy, a więc na przykład za Radą Baptystów — Rockefeller, za metodystami — Ford. Żadnej radzie nie brak pomocy finansowej tych magnatów, ponieważ rozumieją oni dobrze i oceniają w pełni użyteczność rad ekumenicznych".

Cóż dopiero mówić o przeszłości węgierskiego „kardynała zdrady" Mindszenty'ego, przyjaciela Mussoliniego, Salazara i Piłsudskiego, a później wielbiciela Hitlera, rasisty i antysemity? Albo o zdrajcy w wielkim stylu — Maniu?

Maniu przywódca „chłopski" w Rumunii był akcjonariuszem kopalń złota i wiernym niegdyś stronnikiem monarchii austro - węgierskiej. W 1921 r. sprzeciwił się reformie rolnej, niebawem usunął z parlamentu posłów Bloku Robotniczo-Chłopskiego, rozwiązał związki zawodowe, w 1929 r. strzelał do górników w Lupeni, w 1937 r. zawarł pakt wyborczy z „Żelazną Gwardią", a jeszcze w 1940 r. pisał w memorandum do Hitlera, że nikt lepiej jak on nie rozumie problemu rumuńskiego.

Dokoła takich ludzi skupiają się najgorsze elementy faszystowskie. Partie Mikołajczyka, Nagyego czy Maniu stają się od razu ostoją wszystkich sił antydemokratycznych, przykrywką działalności spiskowej.

Czołowi działacze partii Nagyego — zostali skompromitowani w procesie „sztabowca zdrady" Dalnoki - Veressa, faszysty z „zasłużoną" przeszłością.

Maniu, w ramach kierowanej przez siebie partii narodowo-chłopskiej sam stworzył organizację paramilitarną zwaną „Gwardią Juliu Maniu" — do której weszli byli członkowie Żelaznej Gwardii, zbrodniarze wojenni i siepacze Antonescu. W 1947 r. Maniu licząc na interwencję anglosaską zaczął z tych samych ludzi tworzyć armię podziemną.

Według tego klasycznego już wzoru bułgarski szef Unii Agrarnej G. M. Dymitrow (Gemeto) otworzył szeroko drzwi do partii faszystom i monarchistom.

Niebawem usunęła go w cień osobistość bardziej wybitna — Petkow. Po opuszczeniu Frontu Ojczyźnianego na wiosnę 1945 r. Petkow polecił zorganizowanie „Ligi Militarnej", która, jak zeznał jej członek Hodżi Atamasow, miała na celu przygotowanie zamachu stanu.

Ścisły związek z faszystami cechował także przywódcę partii socjaldemokratów bułgarskich. Na procesie w listopadzie 1948 r. sekretarz partii T. Reczew zeznał: „Lulczew mówił o konieczności dopuszczenia do partii dawnych faszystów, czego dotychczas się wystrzegał". Sam Lulczew, przewodniczący partii socjaldemokratycznej wyjaśnił skromnie: „myślę, że pewne elementy faszystowskie czuły, że są nam bliskie".

* * *

Zestawiając poszczególne spiski i ich przebieg, uderza nas, że profile zdrajców i przekroje zdrady są do siebie łudząco podobne. Często zamiast wyjaśnić, kim był Nagy, wolelibyśmy powiedzieć: — węgierski Mikołajczyk.

Skąd się to podobieństwo bierze?

Oczywiście zdradę zrodziły wszędzie te same siły polityczne, wyrosła na tym samym gruncie kontrrewolucji przeciwko przemianom społecznym w krajach idących po drodze demokracji ludowej do socjalizmu.

Lecz uważny obserwator dostrzeże nadto, że spiski te nie były odruchami izolowanymi, autonomicznymi i żywiołowymi. **Krój** zdrady zdradza wypracowany co do szczegółów jeden i ten sam **model!** Domyśleć się nie trudno, że jest to model **made in USA.**

„We wszystkich nieudanych spiskach — pisze Jouvenel — w Bułgarii, na Węgrzech, w Rumunii i gdzie indziej, znajdujemy rękę „pewnego ambasadora", „pewnego poselstwa" lub „misji zagranicznej" itd."

Procesy odsłoniły ścisłe stosunki między ambasadorem amerykańskim na Węgrzech Chapinem a Mindszentym i życzliwą wymianę „informacji" „na tematy religijne i niereligijne". Maniu posiadał nawet własnego tłumacza do systematycznych rozmów z agentami zagranicy a w szczególności z Burtonem Berrym, szefem misji amerykańskiej, na którego zlecenie organizował uzbrojone bandy. Lecz po co sięgać daleko; pamiętamy przecież „towarzyskie" stosunki Mikołajczyka z p. p. Bliss Lane — ambasadorem Stanów Zjednoczonych i Cavendish Bentick — ambasadorem Jego Królewskiej Mości. Pamiętamy dobrze, który mistrz baletu wysłał „primadonnę jednego sezonu" — na gościnne występy — do Polski, pamiętamy kto był impresario i kto wygwizdaną kukłę schował za kulisy.

Śledztwo wykazało, że ucieczka Mikołajczyka „została zorganizowana i zrealizowana przez wyższych funkcjonariuszy pewnej ambasady zagranicznej".

Przeanalizowanie tej całej **organizacji zdrady**, tych powiązań zagranicznych, uchwycenie jednej i tej samej nici przewodniej spisków, zdemaskowanie tych samych zleceniodawców pozwala Jouvenelowi pokazać **jedność tego światowego spisku przeciwko pokojowi, niepodległości politycznej i wolności społecznej ludów europejskich.**

Ta międzynarodowa organizacja spisku ujawniła się między innymi oficjalnie „na zewnątrz" w związku z uroczystą proklamacją tzw. **„Zielonej Międzynarodówki"**, którą pod wysokim protektoratem imperialistycznych chlebodawców zawiązali najwybitniejsi zdrajcy z Ferencem Nagy i Mikołajczykiem na czele.

Lecz gdy przeciwnik sam pokazuje karty, to znaczy, że w **tej** partii spasował. To już nie na zdemaskowanych członków **pierwszego** sprzysiężenia stawia dziś amerykańska centrala dywersji antypokojowej. Karty potasowano, zmienili się ludzie i metody. Podrośli inni bardziej wykwalifikowani agenci. Agenturę imperializmu na kraje demokracji ludowej objął dywersant Tito.

Lecz spotężniały także siły postępu i pokoju. Pokój i wolność ma dziś swych przyjaciół wśród wszystkich ludów i tych uciskanych i tych wyzwolonych spod ucisku, które codzień, czynem dokera z Nicei i bohatera pracy ze Stalingradu udawadniają, że pokój i wolność potrafią ofiarnie wywalczyć.

Marcin Wielgus

*) Renaud de Jouvenel „Internationale des traitres" Paris 1949 La Bibliotheque Française.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

TEMATYKA WIEJSKA W TEATRZE CZECHOSŁOWACKIM

Polak, zapoznający się z dramaturgią czeską i słowacką oraz obserwujący bieżące życie teatralne w Czechosłowacji zwrócić musi uwagę na fakt, jak licznie w tej dziedzinie twórczości jest tam reprezentowana tematyka wiejska, jak często autorzy dramatyczni sięgają po materiał i konflikty w życie chłopów. Rys ten zauważamy od razu prawem pewnego kontrastu, gdyż w naszej literaturze zarówno szlacheckiej jak i mieszczańskiej chłop rzadko urastał do rangi bohatera dramatycznego. Zdobywszy sobie mocną pozycję w powieści, pojawiał się w nielicznych zresztą utworach dramatycznych epizodycznie, a zajmując w nich miejsce pierwszoplanowe — ukazywał się w ujęciach szablonowych, konwencjonalnych, bądź też naturalistycznych.

Zainteresowanie dramaturgii czeskiej i słowackiej chłopem i wsią ma swoje historyczne i polityczne przyczyny. Podczas gdy u nas teatr jako instytucja publiczna rozwinął się w drugiej połowie XVIII wieku z teatru dworskiego i jego spadek przede wszystkim odziedziczył, służąc zjeżdżającej do miast szlachcie i widzowi mieszczańskiemu przez większość wieku XIX, teatr Czechow i Słowaków wyrósł z ludowych form teatru ochotniczego i zawodowego teatru wędrownego. Ponadto teatr był w Czechach i na Słowacji jednym z motorów odrodzenia narodowego, ważnym środkiem w walce o uświadomienie narodowe mas. Ponieważ odrodzenie narodowe Czechów i Słowaków dokonało się przede wszystkim dzięki obudzeniu szerokich mas chłopskich, teatr starał się w pierwszym rzędzie trafiać do tego typu widza. Tak było w dramacie słowackim i czeskim na przejściu od klasycyzmu do romantyzmu, tak było w okresie romantycznym a w epoce realizmu rola, jaką warstwa chłopska odgrywała w kształtującym się w sposób nowoczesny społeczeństwie, sama otwierała problematyce wsi drogę do literatury dramatycznej. Chłop jako postać dramatyczna a wieś z jej problematyką jako środowisko dramatyczne otrzymały w ten sposób wcale bogatą tradycję literacką, tradycję znacznie bogatszą od naszej. Stworzyli ją w Czechach tacy pisarze sceniczni jak Klicpera, Tyl (twórca czeskiego teatru narodowego), bracia Mrsztikowie, Stroupeznicky, Jirásek, na Słowacji Jan Chalupka, Zaborsky, Józef Holly, Tajovsky i inni. Rzecz prosta, że siła oddziaływania wpływów i konwencji literackich oraz tendencje wychowawcze sprawiły, że i przez tych pisarzy pokazany chłop nie jest wolny od szablonów i uproszczeń, ale wobec znacznie bardziej bezpośredniego stosunku tych pisarzy do ludu i silniejszych związków z nim obraz chłopa w ich komediach i dramatach jest o wiele bardziej bliski życia i prawdy niż przeciętnie u nas, to znaczy w dziełach naszych pisarzy dramatycznych.

W dalszym rozwoju dramatu zwłaszcza czeskiego rysem charakterystycznym jest, że zainteresowanie ludzi piszących dla sceny chłopem i wsią słabnie w okresie międzywojennym, w okresie demokracji mieszczańskiej i związanych z nią ideowo prądów literackich. Słowacja zainteresowania te kontynuowała, ale tam znów pomiędzy dwiema wojnami dramat rozwinął się znacznie słabiej.

Okres powojenny natomiast — zwłaszcza lata ostatnie — przyniósł nowy zwrot ku tej tematyce, czego rezultatem jest wiele sztuk opartych o problematykę współczesnej wsi czeskiej i słowackiej oraz fakt, że te utwory które moglibyśmy określić jako „sztuki chłopskie", nie schodzą ze scen kilkudziesięciu zawodowych teatrów czeskich i słowackich. I tu znów musimy stwierdzić kontrast w zestawieniu ze stanem tych zainteresowań literackich i teatralnych u nas. Publiczność nasza a co więcej dyrektorzy teatrów zupełnie odwykli od pokazywania na scenie chłopa potraktowanego realistycznie, poważnie i pozytywnie. Kiedy zresztą i na czym mieli się do niego przyzwyczaić? Na propozycję wprowadzenia do repertuaru sztuki o problematyce chłopskiej można usłyszeć pytanie — „A kto to będzie grał i kto będzie na to chodził?" Słowem mamy tu jeszcze dużo do zrobienia. Dlatego też warto spojrzeć, jak rzeczy te wyglądają w Czechosłowacji.

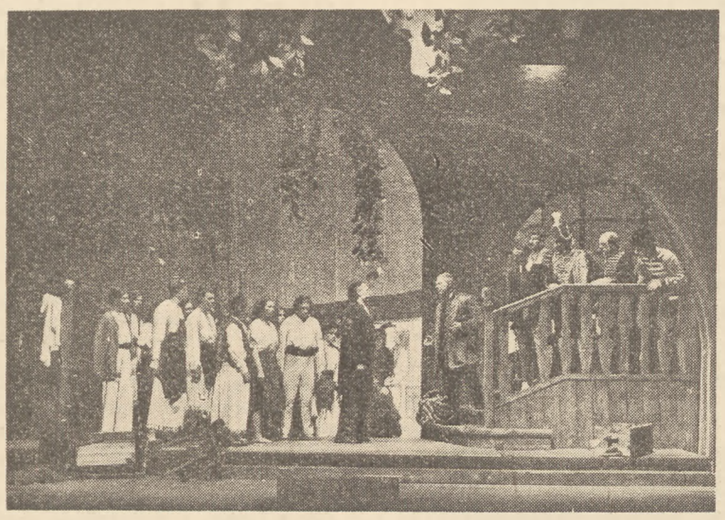

Teatr Narodowy w Bratysławie: sztuka klasycznego autora słowackiego J. Zaborskiego „Najduch". Scena z 3 aktu.

Przede wszystkim zwraca uwagę śmiała próba organizacyjna, zmierzająca do udostępnienia wsi artystycznego teatru. Zagadnienie to rozwiązane zostało w dwojaki sposób. W pierwszym rzędzie obsługa teatralna wsi powierzona jest t. zw. teatrom okręgowym, które posiadając swoje stałe siedziby obsługują zarazem objazdami powierzony im najbliższy teren. Sieć tych teatrów jest bardzo gęsta a działalność ich cechuje niezwykła ruchliwość, możliwa dzięki operowaniu równocześnie przynajmniej dwoma zespołami. Te teatry obsługują przede wszystkim wsie większe, liczące powyżej 1.000 mieszkańców. Obsługa wsi mniejszych należy do osobnej instytucji teatralnej noszącej nazwę „Teatru dla wsi". Teatr ten posiada dwie centrale, jedną w Pradze dla Czech i Moraw, drugą w Bratysławie dla Słowacji. Centrala czesko-morawska posiada 10 stałych zespołów, centrala słowacka trzy zespoły. Wszystkie te zespoły znajdują się w stałych objazdach po kraju i docierają do najdalszych wsi, dysponujących nawet najbardziej prymitywnie urządzonymi salami widowiskowymi. Dopełnieniem zespołów dramatycznych są zespoły kukiełkowe, które obliczone są na widzów najmłodszych. „Teatr dla wsi" pracuje już od jesieni roku 1945 i posiada poważny dorobek. W ciągu tych pięciu lat pracy działalność jego udoskonaliła się i artystycznie, i organizacyjnie, co zaznaczyło się zwłaszcza po przewrocie lutowym w 1948 roku, gdy rząd udzielił tej instytucji znacznie wydatniejszej pomocy niż przedtem. W sumie czechosłowacki „Teatr dla wsi" stanowi duże osiągnięcie kulturalne i jest jednym z ważnych czynników w życiu teatralnym kraju. Teatr ten operuje łatwym do realizacji w warunkach terenowych repertuarem klasycznym i współczesnym przede wszystkim rodzimym. Współpracują z nim najwybitniejsi reżyserzy teatrów praskich. Instytucja ta w sposób nowoczesny kontynuuje kulturalną i wychowawczą misję dawnych czeskich zespołów wędrownych, od których wziął początek w pierwszej połowie XIX w. czeski teatr narodowy.

TEATR ODBICIEM NOWEJ WSI

Teatr tak silnie związany ze wsią i związki te z roku na rok zacieśniający potrzebuje odpowiedniego repertuaru, który trafiałby szczególnie do zainteresowań i upodobań widza. Równocześnie i większe teatry stałe, nie prowadzące nawet działalności objazdowej, pozostają wierne dawnym tradycjom sceny czeskiej i słowackiej i zwiększyły swą chłonność repertuarową do sztuki o tematyce chłopskiej. W pierwszym etapie pracy potrzeby te zaspokajano rodzimym repertuarem klasycznym w nowych opracowaniach inscenizacyjnych. Na Słowacji przeżywają swój renesans najcelniejsze sztuki chłopskie Zaborskiego, Tajovskiego i Hollego, w Czechach sztuki Tyla, Klicpery, Stroupeżnickiego, Mrsztików, Jiráska. Zagadnienie nowego repertuaru wysunęło dwa problemy — nowych sztuk śpiewno-muzycznych, wykorzystujących bogaty materiał folkloru a mających równocześnie za zadanie eliminację bardzo popularnej, lecz obcej kulturze czeskiej i słowackiej operetki oraz sztuk poruszających problematykę przemian społecznych i gospodarczych, które kształtują współczesną wieś czechosłowacką. Rozwiązanie pierwszego problemu idzie wolniej, gdyż siłą rzeczy wolniej powstaje nowy repertuar, który musi wyrastać ze ścisłej współpracy specjalnego typu pisarzy i kompozytorów. Najpoważniejszym osiągnięciem na tym polu stało się znane i w Polsce widowisko słowackie Iwana Terena i K. L. Zachara „Rok na wsi", które przy swoich brakach treściowych pokazało jednak, jak doskonały efekt artystyczny osiągnąć można umiejętnym wykorzystaniem ludowego tańca, pieśni, obrzędu i humoru. Znacznie dalej natomiast posunął się problem drugi, gdyż ostatni rok przyniósł kilka sztuk czeskich i słowackich śmiało sięgających po nową problematykę wsi i opracowujących konflikty, wynikające z zachodzących w jej życiu i strukturze przemian. Sztuki te w sposób nowy odsłaniają uwarstwienie społeczne wsi, ukazują ścieranie się na tym terenie i walkę sił postępu z siłami wstecznictwa i kapitalizmu wiejskiego, słowem dramatyzują w sposób jasny problem socjalistycznej przebudowy wsi czechosłowackiej. Dzięki tym sztukom teatr czechosłowacki staje się odbiciem najistotniejszych procesów zachodzących współcześnie w życiu wsi.

Teatr Narodowy w Bratysławie. Widowisko Ivana Terena i K. L. Zachara „Rok na wsi".

ROK PRZEŁOMU

Nowy etap zainteresowania się teatru wsią i chłopem jako tematem dramatycznym zaczyna się niewątpliwie z rokiem 1949. W tym bowiem czasie literatura czeska i słowacka przestaje być wyraźnie kontynuacją międzywojennej literatury mieszczańskiej a dokonuje się w niej przełom w kierunku literatury realizmu socjalistycznego. Obserwujemy to zjawisko we wszystkich dziedzinach twórczości, ale w dramacie przemiana ta postępuje bodaj najszybciej. Teatr czeski sygnalizował ją takimi sztukami, jak „Bożenka przyjedzie" Karola Dworzaka i „Zbójecki wąwóz" (Mordová rokle) Miloslava Stehlika, teatr słowacki natomiast komediami „Kozie mleko" Jana Skalki i „Podpolańskie buki" Stefana Králika. Tę pierwszą grupę nowych sztuk chłopskich powiększyła wkrótce przeróbka sceniczna książki premiera Czechosłowacji Antoniego Zapotockiego „Wstaną nowi bojownicy".

Ta ostatnia sztuka sięga najdalej w przeszłość. Tematem jej są początki ruchu socjalistycznego w środowisku robotników rolnych pod koniec XIX w. w rodzinnych stronach autora w pobliżu Pragi. W sześciu obrazach scenicznych o więcej epickim niż dramatycznym charakterze sztuka daje obraz wyzyskiwanej przez dwór, terroryzowanej przez plebanię, wójta i żandarma wsi oraz biernego, nie mającego odwagi myśleć nawet o jakiejś zmianie na lepsze, środowiska chłopskiego, niechętnie ustosunkowanego do „socjołów". Motorem akcji staje się tu wysiedlony przymusowo z Pragi działacz socjalistyczny Budeczsky (pierwowzorem tej postaci jest ojciec autora), który stopniowo zdobywa zaufanie wsi, organizuje pierwsze formy skutecznej walki z wyzyskiem i uciskiem, budzi świadomość klasową wśród chłopów i przygotowuje pierwsze zwycięstwo wyborcze połączonego proletariatu wiejskiego i miejskiego.

Książka premiera Zapotockiego ma wiele cech wspólnych ze „Starem i nowem" Lucjana Rudnickiego. Autor przeróbki scenicznej, Jarosław Nezval, starał się wydobyć z niej momenty najbardziej dramatyczne, przy czym musiał często rozbudowywać narrację w obrazy sceniczne. Przeróbka ta rozpoczęła swoją karierę w „Divadle pracujicich" w Gottwaldowie (Zlinie), skąd przeszła wkrótce na wszystkie czołowe sceny czeskie i słowackie.

Podczas gdy sztuka Zapotockiego-Nezvala ukazuje początki uświadomienia klasowego wsi, pięcioaktowy dramat Miloslava Stehlika „Zbójecki wąwóz" kreśli obraz klasowo zróżnicowanej wsi czeskiej w walce z okupantem w latach ostatniej wojny. W chwili ciężkiej próby, jaką jest w tej sztuce plan wywłaszczenia chłopów czeskich na rzecz niemieckiego obszarnika, wieś mobilizuje opór, którego siły nie potrafi już osłabić ani zdrada, ani ugodowość, ani oportunizm wiejskich bogaczy. Dramat Stehlika wyróżnia się bogactwem postaci i typów, wnikliwą charakterystyką występujących w nim osób, które tworzą niezwykle interesujący i plastyczny przekrój środowiska wiejskiego w okresie okupacji.

Następne sztuki czeskie, czerpiące temat z życia wsi, sięgają już śmiało po problematykę najbardziej aktualną.

Do najwcześniejszych należy tu komedia Karola Dworzaka „Bożenka przyjedzie". Nie nowy motyw antagonizmu dwóch wsi autor opracował w sposób świeży przez wprowadzenie współzawodnictwa pracy pomiędzy młodzieżą chłopską jednej wsi a młodzieżą robotniczą pracującą w fabrykach tekstylnych skupionych w drugiej wsi. Pionierska praca oparta na socjalistycznych zasadach usuwa w cień nieistotne konflikty, które zacierają się w końcu również pomiędzy przedstawicielami starszego pokolenia. Z tym głównym nurtem akcji, której najważniejszymi postaciami są emerytowany majster fabryczny Souczek i młody betoniarz Wania, łączy się i przeplata zabawnie nawiązany wątek miłosny, snujący się wokół wnuczki Souczka Anki i jej trzech konkurentów. Przeprowadzenie tego drugiego motywu oparł autor jednak na zbyt wątłym i trochę sztucznie podtrzymywanym przez sześć obrazów sztuki nieporozumieniu z „Bożenką". Komedia ta posiada sporo humoru, doskonały i dowcipny dialog, szereg interesujących i zabawnych postaci. Autor nie zapanował jednak całkowicie nad materiałem, który chciał zużytkować, nie uniknął zahamowań akcji i nie utrzymał komediowego tempa i dowcipu do końca.

Dużym krokiem naprzód komedii chłopskiej jest nagrodzona jesienią ub. roku w specjalnym konkursie artystycznym sztuka Jarosława Zrotala „Kura i kościelny". Tematem jej jest życie wsi na morawskiej Słowaczyźnie w okresie decydującej walki o spółdzielcze metody gospodarowania. Mimo zbyt długiej ekspozycji w akcie pierwszym i statyczności aktu czwartego komedia jest żywa, barwna a przede wszystkim pomysłowa, dowcipna i bardzo aktualna. Czołowe jej postacie dają znakomite pole do kreacji aktorskich, ale postacie drugoplanowe kreślone są już dość schematycznie. Całość posiada dużo cech dobrej, interesującej i zabawnej komedii, która nie przechodzi w dydaktykę i slogany, co można rzec na przykład o końcowym obrazie komedii Dworzaka „Bożenka przyjedzie".

Na gruncie czeskim ostanią godną uwagi sztuką chłopską jest wystawiona przez teatr E. F. Buriana sztuka „Przipad Modré Vody" (Sprawa Modrej Wody), którą napisał Alexej Pludek. Autor ten posuwa swój problem dalej niż czyni to w swojej komedii Zrotal. Wprowadza do sztuki spółdzielnię rolniczą już zorganizowaną, która na skutek nieudolności kierownictwa stoi w obliczu klęski, co nie tylko podkopałoby zaufanie chłopów do tej formy gospodarowania, ale i podporządkowałoby z powrotem biedniejszych rolników największemu bogaczowi we wsi, który zmechanizował i zracjonalizował swoje gospodarstwo i uzależniał sąsiadów od siebie przez pożyczanie im maszyn. Spółdzielnię ratują od katastrofy robotnicy z pobliskiego miasta, których delegat mobilizuje wszystkie siły we wsi, zwłaszcza zaś młodzież, przeprowadza sprawnie akcję siewną i utrwala w ten sposób egzystencję spółdzielni. Również i ta sztuka zdobyła sobie uznanie umiejętnym przeprowadzeniem problemu, jego dramatycznym rozwinięciem oraz charakterystyką postaci.

Nie mniej licznie reprezentowana jest tematyka chłopska w najnowszej dramaturgii słowackiej, która ostatnio zakończyła okres wyłącznych niemal zainteresowań tematyką okupacyjną a zwłaszcza tematem powstania narodowego 1944 roku, a zwróciła się do zagadnień najbardziej aktualnych. Wobec nikłego uprzemysłowienia Słowacji (dopiero obecnie dokonuje się tam wielkiego dzieła przebudowy struktury gospodarczej tej połaci kraju) przemiany zachodzące w życiu wsi należą tam do zagadnień najbardziej palących.

Największe uznanie zdobyły sobie dotychczas dwie komedie chłopskie, wystawione pod koniec 1949 roku: Jana Skalki „Kozie mleko" i Stefana Králika „Podpolańskie buki". Obydwie cieszą się w teatrach słowackich dużym powodzeniem, a komedia Skalki przeszła już na jedną ze scen Pragi.

W „Kozim mleku" ukazuje autor w komediowym ujęciu klęskę bogacza wiejskiego, który za wszelką cenę chce obejść ustawy i ma nadzieję utrzymać swoją pozycję we wsi mimo tego, że biedota i średniacy organizują się w spółdzielnię. W zaślepieniu i z zaciekłości wyprzedaje dobytek, by nie być zmuszonym do oddawania kontyngentów a podpiwszy sobie po tych transakcjach daje się namówić sprytnemu urzędnikowi gminy do kupna kozy, co ośmiesza go przed całą wsią i rozbija wszystkie jego plany. Małżeństwo córki z synem bogatego gospodarza nie dochodzi do skutku, opuszcza go parobek, który idzie do pracy na stację obsługi traktorów, wreszcie jedyna córka i dziedziczka majątku porzuca dom, by połączyć się z biednym chłopcem, jednym z najaktywniejszych działaczy politycznych we wsi. Całość kończy się nieoczekiwanie dość sielankowo, gdyż bogacz godzi się ze swoim losem i zgłasza chęć przystąpienia na równych prawach do spółdzielni. Akcja zamknięta w trzech aktach toczy się żywo, obfituje w dobre sytuacje i dialogi, a z grupy pełnych życia i plastyki postaci wyróżnia się postać wesołego, zawadiackiego parobka Józka. Całości szkodzi zakończenie z owym sielankowym rozwiązaniem konfliktu, które w dodatku autor ujął w formę folklorystycznego widowiska ludowego ze sceną „szkubaczek".

Typowy dla Słowacji problem (aktualny także i na naszej wsi) wybrał sobie jeden z najbardziej utalentowanych dramaturgów słowackich Stefan Králik. Jest to problem przechodzenia młodzieży wiejskiej do środowisk przemysłowych. Dla zilustrowania go autor obrał sobie w komedii „Podpolańskie buki" teren górskiej wsi w okolicach Zwolenia. Jest to wieś szczególnie biedna i gospodarczo zacofana, gdzie rozrzucone po „groniach" zagrody małorolnych żyją w grupowej zależności od bogaczy wiejskich, którzy wykorzystują wszystkie świadczenia na ich rzecz do organizowania bezwzględnego systemu „odrabiania", przez co zdobywają stałą, tanią i całkowicie od nich zależną siłę roboczą. Autor problem ten umieścił i przeprowadził w granicach trzech rodzin. Jeden z synów wyzyskiwanego małorolnego chłopa organizuje odpływ młodych do pobliskich wielkich zakładów przeróbki drzewa, pociągając za sobą również wychowanicę bogacza, który zostaje na swym wielkim gospodarstwie zupełnie bez rąk do pracy. Równocześnie odejście młodych zmusza skłóconych od lat o kawałek gruntu ojców do pogodzenia się i wzajemnej pomocy. Jedna para młodych pozostaje w fabryce, druga natomiast powraca na wieś, by pracować nad jej podniesieniem i wprowadzeniem spółdzielczych metod gospodarowania. Dużą zaletą komedii jest jej oryginalny temat, doskonale zarysowane typy zarówno młodych jak i starych oraz dobrze przeprowadzona, nie narzucająca się siłą myśl przewodnia sztuki.

*

Ten informacyjny przegląd nie uwzględnia wszystkich najnowszych sztuk czeskich i słowackich poświęconych tematyce wsi. Uwzględnia tylko pozycje najciekawsze. Zadaniem jego było pokazanie, jak dramat czeski i słowacki w pierwszym etapie swej drogi do realizmu socjalistycznego wszechstronnie interesuje się problematyką przemian zachodzących na wsi. Już ta informacja pozwala nam zorientować się, jak poważnie spóźniają się na tym odcinku pracy nasi autorzy dramatyczni. Nie chcę, rzecz prosta, sugerować, że wszystkie omówione powyżej sztuki to dzieła skończenie doskonałe pod względem artystycznym. Świeży i obfity materiał twórczy zbyt opornie jeszcze poddaje się rygorom budowy dramatycznej, rozsadza sztuki w wiele obrazów lub w konstrukcje pięcioaktowe, w których łatwo o sceny statyczne i niepotrzebne. Ale dotychczasowy dorobek pisarzy dramatycznych czeskich i słowackich pozwala przypuszczać, że po tym pierwszym etapie zmagań z nową, trudną tematyką szybciej niż nasi pisarze osiągną oni rezultaty trwalsze i wartościowsze artystycznie. Okresu prób i doświadczeń uniknąć się nie da. Pisarze czechosłowaccy weszli weń już na dobre.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

PRÓBA CHARAKTERÓW

(dokończenie ze str. 5)

Jerofiej Kuźmicz, to typ jakby żywcem wyjęty z powieści Balzaca. Tu na tle społeczeństwa socjalistycznego jego „normalne" w starym świecie balzacowskiej „cnoty" egoizmu, skąpstwa i żądzy bogacenia się za wszelką cenę, czynią go postacią równie charakterystyczną jak odpychającą. Jest to już tylko zabytek przeszłości na wsi radzieckiej, niemniej potwierdzający tezę o żywiołowym odradzaniu się niedobitej hydry kapitalizmu, o tym, że „drobna produkcja stale, co dzień, co godzina żywiołowo i w skali masowej rodzi kapitalizm i burżuazję".

Jerofiej Kuźmicz nie wyzwolił się spod uroku magii kapitalizmu, w który popadł w młodości, służąc jako parobek u bogacza wiejskiego, wielkiego wyzyskiwacza i skąpca i podpatrując z podziwem jego metody bogacenia się. Jerofiej Kuźmicz łudził się wtedy, że znalazł klucz otwierający drzwi do bogactwa. Uwierzył w możliwość awansu społecznego w warunkach kapitalistycznych i przemycenia się do klasy bogaczy. Tej wiary nie potrafiły rozwiać niefortunne dzieje jego własnej gospodarki.

Jerofiej Kuźmicz w ujęciu Bubiennowa należy do tych „skończonych" charakterów, których zachowanie w danej sytuacji można *przewidywać*. Dlatego niemałą gratką dla czytelnika jest prześledzenie jego postępowania w kolejnych układach stosunków faktycznych. Na przykładzie Jerofieja udało się Bubiennowowi pokazać nieubłagany łańcuch konsekwencji, splot przyczyn i skutków pociągający za sobą człowieka, który gdzieś kiedyś miał nieszczęście „przydeptać nogę losowi".

Bezpośrednio po ustąpieniu władzy radzieckiej Jerofiej domaga się podziału ziemi i zboża kołchozowego. Następne etapy „jazdy w dół" to założenie przedsiębiorstwa — pędzenia bimbru, szantaż na Łczniewoju. Sołtysem niemieckim zostaje mianowany pozornie przez przypadek, przez nieszczęśliwy los. Jerofiej Kuźmicz udaremnia bowiem (zresztą bynajmniej nie z miłości do Niemców, lecz po prostu z lęku o własną skórę) zamach umysłowo chorego Jaszy na okupantów. Czyn ten, spostrzeżony przez Niemców, został mu poczytany jako przejaw lojalności i... Niemcy nie omylili się. Wybór był trafny. Jerofiej Kuźmicz będzie lojalny. Z oportunizmu, z tchórzliwego egoizmu, z żądzy bogacenia się. Kuźmicz nie jest człowiekiem z gruntu złym. Jest „tylko" człowiekiem interesu na miarę drobnomieszczańską, nie pozbawionym zresztą szlachetnych odruchów, zwłaszcza gdy go nic nie kosztują. Przede wszystkim zaś jest zbyt przebiegły i wyrachowany, by nie dbać o pozory. Nie zdradzi nawet Osipa Michajłowicza, który wydał nakaz spalenia stert. Kiedy zaś będzie rekwirował dla Niemców zboże, najpierw uprzedzi ludzi, by mogli je pochować. Jakże prawdziwy jest ten Jerofiej Kuźmicz w każdym poruszeniu! *W warunkach normalnych żyłby może mniej więcej po ludzku. Ale nie podoła już wymaganiom wojny.*

Zawartości treściowej powieści odpowiadają ściśle nawet opisy przyrody. Autor utrzymał tu klasyczną niemal *jedność tonu*. Akcja toczy się na tle złotej, rosyjskiej jesieni, przetykanej białym motywem brzozy.

Przyroda w powieści Bubiennowa jest z akcją powieści złączona *funkcjonalnie*. Opisy natury nie mają charakteru popisowych dygresji, mających wyrazić „głębokie odczuwanie przez autora piękna natury", na marginesie i na przekór akcji — tych sztucznych wstawek, które potrafią rozsadzić najlepszą powieść, choćby nawet były takimi arcydziełkami „samymi w sobie" jak u Żeromskiego. Co więcej, przyroda w „Białej Brzozie" nie jest nawet motywem wyłącznie zdobniczym. Opisy natury są zharmonizowane wewnętrznie z przeżyciami postaci powieściowych. Wyostrzają je i czynią wyrazistszymi. Niekiedy stają się wprost rodzajem komentarza autorskiego do stanów psychicznych postaci, służą do uzewnętrzniania ich przeżyć. To znów autor patrzy na przyrodę pod kątem jej przydatności jako osłona dla wojska i jako czynnik strategiczny w czasie walki

Krańcowym wyrazem tej funkcji staje się uprawiana gdzieniegdzie przez autora symbolika. Ocalała po bitwie brzoza staje się symbolem zwycięstwa i przetrwania. A także jakby własnym symbolem Andreja. Zabłąkany żuraw — to znów dla Kostii symbol osamotnienia. Zając pojawiający się w okopach Olejnika i mysz, obserwowana przez Łczniewoja — to wszystko symbole ich własnych stanów psychicznych.

Często przyroda ukazuje się w książce w kształtach artystycznych, wyznaczonych przez aktualne wypadki. Jest to sposób przedstawiania niezmiernie sugestywny.

„Dwa krzepkie wiązy wynosiły na rękach na skraj lasu ciężko ranny, młodziutki dąb".

Metafora w tym opisie nie jest przypadkowa, lecz zbudowana z elementów wprost wyjętych z akcji. Tak patrzy żołnierz, który niedawno brał udział w bitwie.

Bubiennow należy do tych młodych pisarzy radzieckich, którzy tworząc rzeczy świeże i oryginalne, chętnie czerpią ze skarbca klasycznych środków ekspresji. Biorą z przeszłości to, co jest najlepszego i co im najbardziej odpowiada.

Czytelnicy radzieccy domagają się podobno od autora „Białej Brzozy" kontynuowania powieści (byle zachował od śmierci Andreja i Marijkę). Byłoby to jednak trudne zadanie. Autor rozwiązał już podstawowe problemy i rozładował konflikty. Przeprowadził Andreja przez Rubikon, innym postaciom wyznaczył przekonywujący los. Przede wszystkim zaś dał już zamknięty obraz zwycięskiego odwrotu i potrafił literacko przekonać nas o głębokiej prawdzie słów własnego bohatera, Borodina. „Uważa się za normalne, że w ciężkich warunkach odwrotu masy żołnierskie łatwo ulegają demoralizacji, która zmienia wojsko w dzikie stado. Myśmy natomiast doświadczyli coś wręcz odwrotnego. Nigdy nasi ludzie nie ujawnili tak wspaniałych charakterów, jak w owe dni, dokonując czynów bohaterskich w imię miłości ojczyzny!"

Czyż to nie wystarcza?

Edmund Niziurski

STANISŁAW MĘDELSKI

CZY POWIEŚĆ PROLETARIACKA?

Nie wiele mieliśmy w Polsce przed wojną utworów osnutych na tle życia robotników. Nawet pisarze proletariaccy, jak Wasilewska czy Kruczkowski sięgali po tematykę wiejską, ukazując czytelnikom zło ustroju społecznego na podstawie analizy materiału wiejskiego. Stan ten zmienia się stopniowo obecnie (L. Rudnicki „Stare i nowe" i inni), ale jest jeszcze niezadawalający, ponieważ nie ma dotychczas proporcji między obiektywną rzeczywistością, gdzie klasa robotnicza spełnia przodującą rolę, a odbiciem tej rzeczywistości w literaturze, gdzie wciąż jeszcze dominują „inteligenckie rozrachunki".

W takim stanie rzeczy z podwójnym zainteresowaniem bierze się do ręki książkę szwedzkiego pisarza, Józefa Kjellgrena [1]) pt. „Ludzie przy moście", ukazującą pracę robotników sztokholmskich.

Utwór zaskakuje niecodziennym ujęciem technicznym. Po przeczytaniu kilku rozdziałów czytelnik przekonuje się, że mają one bardzo luźny związek ze sobą, bo każdy z nich przedstawia fragment życia jednej postaci, których całą grupę przedstawił autor na początku utworu. Okazuje się, że każdy rozdział ma inną postać główną, która zresztą w poprzednich i następnych rozdziałach spełnia funkcję postaci ubocznej, drugoplanowej. W wyniku tej techniki prezentacji bohaterów, poszczególne rozdziały posiadają swe postacie główne, żadna jednak z nich nie dominuje w ciągu całej akcji. Utwór jako całość nie posiada swego „bohatera" — jest zorientowany zdecydowanie na zobrazowanie środowiska. Interesującym rozwiązaniem narracyjnym jest umieszczenie na końcu każdego rozdziału „Ludzi przy moście" dziennika pracy; za pomocą krótkiej relacji możemy zapoznać się z aktualnym stanem robót przy moście.

Z tych rzadko spotykanych chwytów technicznych możemy z łatwością odczytać intencję autora: chciał on w sposób jak najbardziej realistyczny przedstawić losy grupy robotników zatrudnionych przy budowie mostu. Czy jednakże zamierzenia swe osiągnął? Wydaje się, że nie. Te chwyty techniczne, zamiast ułatwić, utrudniały mu zadanie. Sposób przedstawienia losów grupy ludzi za pośrednictwem pokazania szeregu równorzędnych obrazów, ukazujących nam kolejno poszczególne jednostki w skład tej grupy wchodzące, doprowadził w konsekwencji do tego, że autor przed zakończeniem dziejów grupy nie zdołał zakończyć poszczególnych wątków. Te nierozwiązane przez autora konflikty albo wygasają same,albo też trwają po zakończeniu akcji, wzbudzając u czytelnika słuszne rozczarowanie. Również nie spełniło pozytywnej roli w utworze wprowadzenie dodatkowych informacji w formie dziennika pracy.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że „Ludzie przy moście" to książka na wskroś realistyczna. Nasuwa takie przypuszczenia tematyka utworu, oraz uwzględnienie wszelkich realiów, towarzyszących życiu robotnika w ustroju kapitalistycznym: niebezpieczeństwa pracy, biedy i kłótni rodzinnych, bezrobocia, deklasacji w kierunku lumpenproletariatu, monotonii życia, wreszcie ruchu zawodowego i politycznego, walczącego o lepsze jutro. Jednakże realizm nie polega na rejestracji faktów, ale na ich artystycznej interpretacji. A z tą interpretacją u Kjellgrena jest już gorzej.

Podstawowym miernikiem realizmu mógłby być w tym wypadku stosunek autora do przedstawionej przez niego postaci komunisty Knuta Ivara Eldena, tym bardziej, że na terenie powieści Eldena jest reprezentantem ruchu komunistycznego. Knut jest przedstawiony jako bardzo wytrwały, może nawet uparty samouk, który posiada już dużą, wszechstronną wiedzę i wciąż dalej z uporem ją zdobywa. Autor darzy go pełną sympatią i budzi doń szacunek u czytelnika. Równocześnie jednak Knut jest traktowany jako asceta, nie widzący świata poza swymi studiami nad Marksem, Leninem i ekonomią. Jedyną jego „ludzką" rozrywką jest gra na akordeonie. Jego forma oddziaływania na towarzyszy ogranicza się do „zasadniczych", ideologicznych przemówień, które wygłasza przy okazji różnych wydarzeń. Robotnicy traktują go pobłażliwie, jako teoretyzującego maniaka, który pragnie zbawić cały świat, tymczasem oni pragną tylko polepszenia swych obecnych warunków bytu.

Oczywiście, że taki obraz komunisty i stosunku doń robotników jest ideologicznie fałszywy. Ponadto autor deformuje indywidualną postać robotnika-komunisty, robiąc zeń czczego teoretyka, bujającego w abstrakcji. Te fałszywe założenia ideologiczne przy kształtowaniu postaci Knuta Ivara Eldena pociągają za sobą braki artystyczne. Jest to postać papierowa, artystycznie nie przekonywująca.

Oczywiście, że po takim ujęciu politycznego ruchu robotniczego nie może autor wykorzystać go dla rozwiązania konfliktów, które w utworze występują. A przecież niesposób znaleźć właściwego, realnego rozwiązania takich problemów społecznych jak bezrobocie, bezpieczeństwo pracy, warunki bytu i stosunki rodzinne robotników, na innej, pozaklasowej płaszczyźnie.

Autor jednakże usiluje to zrobić inaczej. Jeden z „bohaterów" jego książki, młody bezrobotny Siompa, doprowadzony do ostateczności swą beznadziejną pozycją społeczną, zaczyna kraść i to kraść na grubszą skalę. I cóż się okazuje? Okazuje się, że Siompa doskonale się czuje w swym nowym zawodzie. Dopiero gdy został włamywaczem poczuł się pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. Uniezależnił się materialnie i moralnie od rodziny, uwolnił się od nudy bezczynności, zyskał sławę. I tu znowu rozbieżność: artystycznie pozytywną postać włamywacza autor usiłuje jednak ze względów wychowawczych potępić w oczach czytelnika. Jakiż wtedy znajduje argument? Aby nie wejść w sprzeczność z poprzednią prawdą artystyczną, autor podważa ten „ideał" argumentem, że takie życie jest niespokojne i niebezpieczne. Na tej drodze zatem też nie ma rozwiązania. Ale rozwiązanie trzeba przecież dać. Kjellgren chwyta się tu ostatecznego, ale i bardzo prymitywnego wyjścia. Tym wyjściem jest hasło: „oszczędnością i pracą..." Zaraz po rozprawieniu się z Siompą daje nam obrazek dwóch bezrobotnych, którzy trochę żebranicą, trochę szperaniem po śmietnikach, a trochę pokątnym handelkiem, utrzymują się przy życiu i są z siebie bardzo zadowoleni.

Pisałem wyżej, że w książce występuje cała grupa ludzi reprezentująca klasę robotniczą Szwecji. Nie można im wskazywać dróg wyjścia w żebraniu i szperaniu w odpadkach.

Niestety, wskazanie rozwiązania tej sytuacji przekracza możliwości autora. Książka kończy się pesymistycznie: robotnicy most wybudowali, po czym zostali pozbawieni nie tylko pracy, ale i dachu nad głową. Baraki zamieszkałe przez ich rodziny przedsiębiorstwo postanowiło rozebrać. Ta decyzja przedsiębiorstwa wynikała stąd, że nowo wybudowany most zwiększał możliwości rozwojowe miasta, dzięki czemu ceny placów podskoczyły w górę. Morał: budując dla miasta most, robotnicy budowali grób dla siebie.

Ponadto autor ani razu nie poważył się wskazać na winowajców tych wszystkich nieszczęść spadających na robotników. Bezrobocie, nędza i głód zjawiają się w utworze w sposób tajemniczy. Autor nie potrafił przeprowadzić społecznej analizy tych zjawisk.

„Najostrzejsza walka klasowa między wyzyskiwanymi a wyzyskiwaczami stanowi zasadniczą cechę ustroju kapitalistycznego" — pisze Stalin [2]). A zatem powieść realistyczna powinna tę właśnie zasadniczą cechę rzeczywistości uchwycić i przekazać ją w kształcie artystycznym. Tymczasem w „Ludziach przy moście" trudno się walki klasowej dopatrzyć. Mamy tam jakiś wyizolowany, oderwany od reszty społeczeństwa świat robotniczy. Nie spotykamy natomiast w utworze wcale przeciwwagi proletariatu — klasy wyzyskiwaczy, która wydaje się nie istnieć.

Jasnym jest, że na takiej płaszczyźnie nie można przedstawić walki klasowej. Kjellgren też nie usiłuje wcale tego robić.

Jest jeszcze jeden ważny moment, którego się wymaga dzisiaj od pisarza-realisty. Zajrzyjmy znowu do Stalina: „Według metody dialektycznej ważne jest przede wszystkim nie to, co się w danej chwili wydaje trwałe, ale zaczyna już obumierać, lecz to, co powstaje i rozwija się, jeżeli nawet wydaje się w danej chwili nietrwałe, albowiem według metody dialektycznej to tylko jest niezwyciężone, co powstaje i rozwija się" [3]). Chodzi zatem o to, aby dzieło artystyczne nie ograniczało się do fotografowania dzisiejszej rzeczywistości, ale żeby wytyczało perspektywy rozwojowe form życia społecznego, aby podkreślało i uwypuklało te elementy współczesne, które są zarodkami przyszłości. Niestety i tego momentu w książce Kjellgrena nie spotykamy. Nie tylko że zwichnął i pomniejszył rolę ruchu robotniczego, ale całą społeczno-artystyczną rzeczywistość ujął raczej w sposób statyczny. Nie widzimy walki i zmagania się sił. W książce ludzie zmieniają tylko swe otoczenie — stosunki społeczne są niezmienne.

Te wszystkie błędne założenia ideowo-artystyczne skłaniają do tego, aby książkę jako całość uznać za chybioną. Mógłby mi jednak ktoś postawić zarzut, że do pisarza, tworzącego w warunkach ustroju kapitalistycznego, przykładam miarkę, która bardzo często nie pasuje jeszcze i do wielu pisarzy polskich, a więc piszących w kraju, który buduje fundamenty socjalizmu. Uważam jednak, że do zajęcia takiej właśnie postawy w stosunku do „Ludzi przy moście" upoważnia tematyka utworu, który posiada aspiracje powieści proletariackiej. Ponadto w tekście można znaleźć szereg odautorskich wypowiedzi, które dowodzą, iż Kjellgren nie tylko zna podstawowe zasady marksizmu, nie tylko sympatyzuje z klasą robotniczą, ale także z jej przodującym oddziałem: partią komunistyczną. Wypowiedzi te wprawdzie nie harmonizują z artystycznym wyrazem jego utworu, ale upoważniają do tego, aby stosować ostre kryteria oceny w stosunku do autora, który nie potrafi uchwycić we właściwe kształty artystyczne ideologii, którą deklarytywnie wyznaje.

STANISŁAW MĘDELSKI

---

[1]) Józef Kjellgren: „Ludzie przy moście". Czytelnik, 1949. Przełożyła z języka szwedzkiego dr Apolonia Załuska (dziennik pracy tłumaczył inż. Feliks Tomczak). Str. 258.

[2]) Józef Stalin: „Zagadnienia leninizmu". Książka 1949 r. Strona 513.

[3]) Tamże, strona 495.

ROMAN ZIMAND

O KRYTYCE, „PUBLICYSTYCE" I „LITERATURZE"

Ostatnia książka Tadeusza Borowskiego *) została dość różnie przyjęta przez recenzentów: B. Dudziński w „Trybunie Ludu" nie dopatrzył się w niej żadnych poważniejszych usterek; Zygmunt Greń „zjadł" autora; R. Matuszewski („Kuźnica") miał również na to chętkę, ale w ostatniej chwili żałość chwyciła go sroga i postanowił wyrok odroczyć.

Te różnice w wypowiedziach krytyków zmuszają w pewnym sensie nie tylko do oceny książki Borowskiego, ale i do zajęcia stanowiska wobec opublikowanych już recenzji.

Zacznijmy tedy od Grenia („Odrodzenie" nr 11—12 z br.), który po kilku acapitach wstępu stwierdza, iż minął czas negowania społecznej doniosłości publicystyki. Pisze to, wydawałoby się po to, by przekonać samego Borowskiego iż nie ma zamiaru krytykować go za „paranie się" publicystyką. Niestety jednak po tym stwierdzeniu, recenzent „Odrodzenia" wytacza małe, profesorskie „ale" i rozpoczyna swoje impresje.

Rozpoczyna je od tezy: każdy dobry pisarz musi być dobrym publicystą, natomiast dobry publicysta rzadko bywa dobrym pisarzem. Trudno zaiste odgadnąć skąd recenzent „Odrodzenia" zaczerpnął materiału do powyższego stwierdzenia.

Wymyślanie tego rodzaju „wiecznych" i „powszechnych" zasad, tworzenie zupełnie sztucznych klasyfikacji jest z punktu widzenia naukowej estetyki czy teorii literatury zgoła nieprzydatne a nawet szkodliwe. Nasza teoria literatury winna obecnie realizować istotniejsze zadania niż obliczanie ilości publicystów, którzy zostali literatami lub odwrotnie.

Druga teza wysunięta przez Zygmunta Grenia zawiera w sobie stwierdzenie, iż pogląd Borowskiego „można przemówić do czytelnika wszystkimi środkami, które stoją do dyspozycji pisarza" jest poglądem nieproletariackim.

Trzecia i czwarta teza recenzenta „Odrodzenia" zawierają w sobie myśl, że oręż publicysty i pisarza-realisty to dwa odrębne gatunki o różnej przynależności klasowej, a co za tym idzie, publicystyka nie jest szkołą pisarskiego realizmu.

Nie wiem czy pisząc recenzję Zygmunt Greń dokładnie przemyślał swoje sformułowania, niemniej czytelnik w jego recenzji znajdzie właśnie powyższe tezy.

Abstrahując w tej chwili od zagadnienia czy Borowski wyrwał się z kręgu „przeintelektualizowanej literatury" czy nie, należy stwierdzić że tezy Grenia nie znajdują pokrycia w obiektywnie istniejącej rzeczywistości.

Po pierwsze: pisarz socjalistyczny może przemawiać i przemawia do czytelnika wszystkimi, stojącymi do jego dyspozycji środkami: felietonem (patrz D. Zasławski), krótkim opowiadaniem (patrz Kożewnikow), dowcipem (patrz Szołochow), umiejętnie dobranym cytatem (patrz Erenburg). Chodzi tylko o to, aby dowcip i opowiadanie, dobór cytatu i felietonu spełniały postulaty realizmu.

Po drugie: próba przeprowadzenia linii podziału między publicystyką a prasą artystyczną musi się odbywać w drodze ścisłych i drobiazgowych badań a nie przy pomocy rozrzuconych po artykule prawd absolutnych typu socjologii ks. Mirka. Należy się przy tym zastanowić czy wyznaczenie stałej granicy jest w ogóle możliwe. Wydaje się, iż szereg prac Erenburga, Voltaira czy Diderota nastręczyłyby tu wiele poważnych trudności.

Po trzecie: wydaje się, iż w marksistowskiej teorii literatury zasadniczy podział przebiega nie wzdłuż tych czy innych gatunków prozy a wzdłuż linii: realizm — formalizm; zasadniczy postulat wobec pisarza winien brzmieć: pisz prawdę t.zn. bądź namiętnym, partyjnym odkrywcą rzeczywistości, odkrywcą, który swą naukową wiedzę o świecie potrafi przekazać w możliwie najdoskonalszej formie artystycznej. Rady w rodzaju: pisz artykuły publicystyczne, lub: pisz wyłącznie sagi rodzinne są mało przydatne. Jeśli prozaik pisze złe artykuły publicystyczne, to obowiązkiem krytyka jest nie dorabianie do tego jednostkowego faktu „powszechnie obowiązujących" teorii, a pokazanie pisarzowi na czym polegają błędy w artykułach i jak należy się ich wyzbywać.

Wydaje się więc, iż dla powyższych względów recenzja Grenia nie przyniosła korzyści nikomu: ani Borowskiemu i jego czytelnikom, ani czytelnikom „Odrodzenia".

Niewątpliwie poważniejsze zarzuty przeciw książce Borowskiego podnosi w ostatnim numerze „Kuźnicy" Ryszard Matuszewski. Matuszewski powiada i w wielu wypadkach udowadnia, iż Borowski uprawia złą publicystykę. Gdyby artykuł jego ograniczał się do rozwinięcia i głębszego uzasadnienia tej tezy, to niewątpliwie spełniłby swe zadanie. Ale Matuszewski wbrew swoim licznym deklaracjom o ważności i wartości publicystyki — wyraża między wierszami żal do Borowskiego za jego publicystyczne próby. „W obliczu tych możliwości — pisze Matuszewski — jakie głoszenie marksistowskiej ideologii przed pisarzem otwiera, są one (publicystyczne próby Borowskiego — R.Z.) raczej dość w tej chwili niepokojącą rezygnacją zdolnego prozaika z doskonalenia się w gatunku, który może mu zapewnić wypowiedź o wiele pełniejszą i o wiele szerszy rezonans społeczny". A więc jednak. Publicystyka publicystyką ale niech się nią lepiej Borowski — pisarz nie para. W tym stwierdzeniu Matuszewski niczym nie różni się od Grenia; obaj — mimo woli — potwierdzają słuszność obaw Borowskiego.

Stanowisko takie jest rażąco niesłuszne. Poza tym jest jasne na jakiej podstawie Matuszewski przypuszcza iż w dzisiejszych warunkach rezonans społeczny książki musi być szerszy od rezonansu publicystycznej pracy zamieszczonej w codziennym piśmie. Chyba że pojęcie „szerszy" identyfikuje on z pojęciem długotrwały. Ale jeśli nawet recenzent tak myślał, to w niczym nie zmienia faktu, że napisał co innego. Krytyk literacki jest pracownikiem naukowym i agitatorem, obowiązuje go jasność wykładu i właściwa dobrym naukowcom — precyzja sformułowań.

Tyle ogólnie, jeśli zaś chodzi o ostatnią książkę Borowskiego, to obowiązkiem krytyka jest wyjaśnić czytelnikom i autorowi jakie są błędy i zalety „publicystyki" Borowskiego i w czym tkwią źródła błędów i zalet.

Zacznijmy od zalet.

Pierwszą i najważniejszą chyba zaletą „Opowiadań" jest to, iż stanowią one jedną z nielicznych jeszcze u nas prób przeprowadzenia linii partyjnej w literaturze. Do tych opowiadań-artykułów należą przede wszystkim „Alicja w krainie czarów", „Hymn narodowy", „Spór o naprawę lampy", „Wirtuoz i człowiek", „Gąsienice na kapuście" „Eppur Si mouve".

Polityczne tezy wymienionych utworów są jasne, język zrozumiały, zwięzły, trafiający w sedno. Borowski pokazuje w nich klasową przyczynę omawianych przez siebie zjawisk bez względu na to czy chodzi tu o fakty konkretne — np. książka Kossak-Szczuckiej, czy „ogólnoludzkie" — jak miłość.

Wydaje się, iż w powojennej prozie polskiej obok utworów tego typu co „Walka Klas" Kowalskiego, niektóre opowiadania Wygodzkiego i wspomniana „publicystyka" Borowskiego nie wiele znajdzie się jeszcze pozycji o takiej klarowności politycznej.

Z omówionej powyżej naczelnej zalety niektórych opowiadań wynikają inne ich pozytywne cechy. W „Opowiadaniach" Borowskiego bowiem, jak w każdym zresztą utworze literackim, znajduje potwierdzenie jedna z naczelnych zasad leninowskiej estetyki: im bardziej partyjna jest linia utworu, im autor lepiej zna to o czym pisze, im głębiej uświadomił sobie polityczny sens swego artystycznego zamierzenia, tym bardziej pokazuje świat, tym bardziej i cenne artystycznie jest jego dzieło.

Krytycy mówią, iż styl Borowskiego grzeszy intelektualnym barokiem. Tak jest rezczywiście, ale tylko wtedy, gdy Borowski nie ma nic do powiedzenia czytelnikom. Tam gdzie teza polityczna utworu jest jasna a intelektualne opanowanie przedmiotu zupełne — tam znika barok językowy, ustępuje efekciarska żonglerka słowna.

Kiedy pisze on: „Człowiek Kartezjusza istniał, ponieważ myślał, człowiek Sartre'a istnieje ponieważ się boi i nudzi zamknięty w świecie jak w Tworkach" — to jest to kapitalne skrótowe ujęcie drogi rozwojowej filozofii mieszczańskiej od jej rewolucyjnego, antyscholartyzmu do marazmu naszych czasów.

Kiedy Borowski pisze o Kossak-Szczuckiej „Polska Alicja jest nieodrodną córeczką kapitalistycznego systemu myślenia. Ale dopuszczając do świadomości myśl, że Bóg jak Hitler stosuje odpowiedzialność zbiorową, mała Alicja z krainy czarów wstąpiła do krainy faszyzmu" — to zdaniom tym nie da się nic zarzucić ani z politycznego, ani z artystycznego punktu widzenia.

Wielka zaleta takich opowiadań jak „Spór o naprawę lampy" czy „Eppur si mouve" jest to, iż są one pierwszą chyba powojenną próbą filozoficznego felietonu. W sytuacji, jaka panuje na naszych uniwersytetach, taka polemika z fenomenologizmem i egzystencjalizmem jest bardzo potrzebna.

Czy wspomniane wyżej opowiadania są bezbłędne: oczywiście że nie. Książka Borowskiego zawiera dużo błędów i niedociągnięć. Jedną z ich podstawowych przyczyn jest formalizm.

Tam gdzie Borowski rezygnuje z zasady partyjności, tam gdzie staje na gruncie założeń estetyki formalizmu, tam występują też i wszystkie grzechy, zarzucone mu przez Matuszewskiego. Tak się dzieje np. w opowiadaniach „Eizdgin i Akyrema", „Rekord" lub „Dzień plantatora". Tak się dzieje i w tych dobrych opowiadaniach, gdy Borowski dla pięknego — jego zdaniem — gestu rezygnuje z prawdy.

Kto Borowskiemu powiedział, że „Wśród zdarzeń i opowieści, które wypełniły dziesięć dni „Dekameronu" tylko ponura zaraza we Florencji i sielanka wykwintnej młodzieży są prawdziwe, reszta jest pięknym kłamstwem poezji".

Trudno orzec co Borowski *chciał* napisać, ale to co *napisał* jest nieprawdą. Historyka literatury jak i przeciętnego czytelnika „prawda" ta najmniej w „Dekameronie" obchodzi.

Obchodzi ich natomiast „kłamstwo poezji" to jest piękne realistyczne opisy życia ówczesnych władz z orszakiem głupich szlachciców, obłudnych mnichów i całą galerią typów, jaką pokazuje nam wielki pisarz.

Najwyraźniej na założeniach formalizmu oparte jest opowiadanie „Rekord". Borowski chciał być oryginalny i dowcipny, ale ponieważ dążył do tego kosztem prawdy, to rezultaty są wręcz przeciwne. Nie można tłumaczyć polityki Amerykan w zachodnich Niemczech — a zwolnienie Ilzy Koch jest fragmentem tej polityki — psychologią rekordomanii amerykańskich wojskowych. Takie tłumaczenie jest błędne i niczego nie wyjaśnia. Dlatego opowiadanie jest nieoryginalne (psycholcgizm) i niedowcipne „romans" amerykańskiego oficera z Ilzą Koch naprawdę nie jest śmieszny.

Formalizm zabił również opowiadanie „Dzień plantatora". O co chodzi w tym utworze, trudno naprawdę orzec. Obowiązkiem recenzenta jest kilkakrotne przeczytanie książki, ale ten zabieg w niczym nie przyczynia się do wyjaśnienia wspomnianego opowiadania.

✤

Z recenzji wynika, iż książka Borowskiego nie jest jednolitą: są w niej rzeczy dobre i złe. Może należałoby nawet poddać pod dyskusję celowość wydawania zbioru artykułów już teraz, bez przeprowadzenia surowszej selekcji. Może, jak radzi Fadiejew, trzeba było poczekać aż społeczeństwo zbierze je za autora, wskazując tym na istotną potrzebę ich wydania. Ale krytykom nie wolno ograniczać się do stwierdzenia faktów, do wartościowania „w ogóle". I tu należy zwrócić na jedną rzecz uwagę. Kiedy Borowski wydał nihilistyczne „Pożegnanie z Marią" spotkał się z powszechnym uznaniem kiedy ukazał się „Kamienny świat", jedna z najbłędniejszych książek napisanych po wojnie — krytyka zadowoliła się skromnym półmilczeniem i kiedy wyszły „Opowiadania z książek i gazet" autora uraczono rozważaniami na temat publicystyki i literatury.

A tymczasem Borowskiemu trzeba powiedzieć: droga od „Pożegnania z Marią" i „Kamiennego świata" do realizmu socjalistycznego jest daleka, żmudna. Na tej drodze czyhają formalistyczne pokusy, z których urodził się „Dzień plantatora" czy „Rekord"; ale istotną różnicą między „Kamiennym światem" a „Opowiadaniami" jest różnica w postawie politycznej autora.

Dlatego nie wolno traktować jednolicie ostatniej książki Borowskiego. Dlatego niesłuszny, nawet szkodliwy jest chwyt Matuszewskiego, który porównuje „Amory Tabitki" z jednym z mniej udanych opowiadań Borowskiego.

Porównanie to jest takim samym formalistycznym chwytem, jakich wiele znajdujemy w „Opowiadaniach".

Prawda wygląda tak: „Amory Tabitki" nie świadczą o żadnym przełomie w postawie politycznej Brezy, a w „Opowiadaniach" Borowskiego jest wiele utworów wskazujących iż pisarz znalazł właściwy drogowskaz.

Borowski winien iść dalej tą drogą, której dopracował się w niektórych opowiadaniach — drogą politycznej, partyjnej literatury. I niech pisze i opowiadania i powieści i felietony i nawet wiersze, jeśli potrafi. Nie wolno mu tylko dwóch rzeczy robić: stanąć w miejscu ani zatracić czujności w walce z formalizmem.

Roman Zimand

---

*) Tadeusz Borowski. Opowiadania z książek i gazet. PIW. Warszawa 1949 r.

Eleonora Dalin

Nauka czytania

Ręce szorstkie, jak zmarznięte grudy.
oparł ciężko przed sobą na stole.
Lśni kropliście w słońca blasku rudym
trud myślenia na schylonym czole.

Życie proste i czarne, jak skiby,
ktoś w zawiłość słów nieznanych splątał,
płosząc cienie pasterskiej koliby
od stuleci drzemiące po kątach.

W czarne znaki na karcie odbite
Góral patrzy, ból w oczy go szczypie —
Aż znienacka wywinął się z liter
tor błyszczący i zbiegł po nasypie.

Ciemność pierzchła w radosnym przełomie,
Zadudniły pociągi w oddali...
I uśmiechnął się góral świadomie
do trzech liter ze światła i stali.

OJCOWIE SOCJALIZMU

(dokończenie ze str. 1)

Skąd czerpała ona swoje siły w produkcji?

Nie w zwiększonym wysiłku fizycznym, nie w ogromie pracy robotniczych „nadludzi", ale w twórczym usprawnieniu, przeorganizowaniu, w tej właśnie twórczej trosce tkwiła i tkwi zasadnicza przyczyna wielkich wyczynów produkcyjnych.

Mówi o tym brygadier grupy przeciwawaryjnej „Czerwona Trzebinia" Kuderski:

„Trzeba było zastąpić pracę fizyczną pracą techniczną, trzeba było zaprząc do roboty wydajniejsze narzędzia". I dalej mówi o swojej pracy racjonalizatorskiej: „Są to wszystkie ulepszenia drobne, i gdy komuś o nich opowiadam, dziwi się zawsze dlaczego sam na nie nie wpadł wcześniej. Odpowiadam mu na to, że wystarczyło tylko dobrze obejrzeć robotę przed zaczęciem, dobrze pomyśleć i zastanowić się, popracować mózgiem a nie tylko mięśniami. Wówczas każde ulepszenie jest proste i jasne".

Murarz Trzciński: „Nasza praca to... nie praca mechaniczna, bezmyślna, lecz praca rozumna i zorganizowana, a tym samym praca twórcza..."

Burżuazja usiłowała nadać pojęciu współzawodnictwa akcent dywersyjny, skierowany przeciw ustrojowi.

Jakżeż zasadniczo, jakże doszczętnie wykarczował to pojęcie socjalizm.

Apryas w wezwaniu do Czynu Pierwszomajowego pisał: „Będę niezmiernie szczęśliwy, jeżeli który z moich kolegów ścianowców pobije mój rekord i uzyska lepsze ode mnie wyniki".

Łykowski: pisze o sobie: „Jesteś przodownikiem ...zadaniem twoim jest dzielić się z nimi twym doświadczeniem, zapoznać z twą metodą pracy, zagrzać ich do walki o jak najszybsze, najwyższe, najlepsze, najoszczędniejsze, wykonanie planów, wychowywać dalsze zastępy przodowników pracy".

Józef Stalin pisał o tym: „W istocie współzawodnictwo jest komunistyczną metodą budownictwa socjalistycznego na podstawie maksymalnej aktywności milionowych mas pracujących".

IV.

Taki wychyla się w grubych zarysach ku nam kontur nowego człowieka, jutrzejszego bohatera socjalistycznej literatury i sztuki.

Szkicowy to kontur, bo tylko szkicowo, fragmentarycznie mówi o sobie robotnik zajęty rzeczą najważniejszą. Dla wszystkich. Jego życie, jego praca, nie jest tylko, jak to sobie niektórzy wyobrażają „morowa", jest to ciężka, uporczywa, ludzka walka Nowego ze Starym.

Ludzie prowadzący tę walkę wzywają wszystkich ludzi do rzeczy najważniejszej: socjalistycznego stosunku do pracy. Wzywają całym swym życiem, swoją walką rewolucyjną w przeszłości, swoją rewolucyjną pracą dzisiaj.

Równanie do ich szeregów w codziennej pracy na swoim odcinku, oto ostateczne przecięcie burżuazyjnej pępowiny, oto droga dla zdobycia ich zaufania, oto jedyna zaszczytna możliwość uczestniczenia w ich walce i trudzie.

Kuderski pisze o historii powstania swej brygady:

„Zaproponowałem wówczas, aby nowopowstałą grupę nazwać Czerwoną Trzebinią nie tylko dlatego, że wszyscy jej członkowie wywodzili się z Trzebini, ale dlatego też, żeby podkreślić, że my reprezentujemy najlepsze tradycje rewolucyjnych robotników Trzebini, że praca nasza ma na celu budowę Polski Socjalistycznej, za którą walczyli i ginęli najlepsi synowie klasy robotniczej, a wśród nich hutnicy Trzebini".

Ta świadomość Kuderskich, to świadomość ojców budowy socjalizmu. I ta świadomość dociera coraz potężniej do wszystkich ludzi pracy. Być godnym swej epoki — oto istota trudu milionów, budujących nowe życie. Wzmagać tą świadomość, ukazywać jej wielkość i perspektywy można tylko idąc w jednym szeregu z nimi; kochając ich, rozumiejąc i pracując jak i oni. Oto sens życia bijący z tych wątłych książeczek i dla mnie. Sens bogaty — i obowiązujący.

Jerzy Piórkowski

JERZY K. MACIEJEWSKI

KINO W SPÓŁDZIELCZEJ WSI

350 km od Warszawy zawiózł nas autobusem „Film Polski" na uruchomienie w dn. 2.IV. jednego z 28 kin wiejskich w woj. poznańskim, w Bojadle, pow. Zielona Góra. Krajobraz był monotonny, więc w drodze wertowałem swoje notatki: co o objazdowych kinach, jedynych, docierających dotychczas na wieś, mówią jej mieszkańcy?

Mieczysław Kowalski z Godzianowa, pow. Skierniewice:

„Trudno jest człowiekowi niewprawionemu w czytanie przeczytać książkę i ją zrozumieć, gdy natomiast ujrzy ją na ekranie, przedstawioną obrazowo, wtedy treść bardzo łatwo utkwi mu w pamięci. Mieszkańcy Godzianowa przyzwyczaili się do kina i trudno teraz jest żyć bez niego".

Józef Obartuch z Greboszowa, pow. Dąbrowa Tarnowska:

„Film jest dla mieszkańców wsi jedyną rozrywką kulturalną. Nie tylko miłą, lecz i pożyteczną, posiada bowiem cechy wychowawcze, którymi z ekranu promieniuje na publiczność wiejską".

W swym biuletynie Film Polski informuje, że obecnie mamy 200 kin objazdowych. W ciągu r. 1950 przybędzie 600 kin wiejskich i 200 w tzw. sieci społecznej. Ponieważ mamy obecnie ok. 600 kin miejskich, przeto w rb. liczba kin się podwoi.

Ale czy kino objazdowe zawsze dotychczas spełniało swoje zadania?

F. P. z Wiązownicy Dużej, pow. Sandomierz, pisze:

„Nie mamy świetlicy, światła, ani jednego radioodbiornika, to czyż nie mamy mieć od czasu do czasu kina? A lud pragnie widzieć tę odbudowę i przebudowę kraju nie tylko na papierze, ale chętnie ujrzy to przez kino, przez światło, przez radio".

Wtóruje mu **Jan Baszczyk** z Przydroża, pow. Głogów:

„Nie mamy możności widzieć filmu, co uważamy dla siebie za dużą krzywdę kulturalną. Chcemy widzieć filmy takie, żeby nam przyniosły wiadomości naukowe, aby nam pomogły zwalczać zacofanie, bo nasze gazety tego nigdy całkowicie nie zastąpią. Pragniemy widzieć filmy o przejawach życia społecznego, o osiągnięciach w odbudowie kraju".

Po tych życzeniach znów zażalenie ze strony **Wład. Kroczka**, w. Przyszowa, pow. Limanowa:

„Dn. 5.5 przyklejono obwieszczenie, że 11.5 przyjedzie kino objazdowe i będzie wyświetlać film „Rudzielec". W oznaczonym dniu już od wczesnych godzin południowych zebrała się ludność, kino — niestety nie przyjechało.

Dn. 22.6 pojawiło się nowe obwieszczenie: kino przyjeżdża 24.6 z filmem „Trzeci szturm". Przyjechało, lecz ludności było mało, bo liczyli się z nowym zawodem.

Dn. 5.8 mieli przyjechać z filmem „Słońce wschodzi". Ludzie się zeszli, jak jeszcze nigdy, czekali do godz. 11, lecz kino nie przybyło. Piszemy to z żalem prosząc, by nas więcej nie zwoziły. Czekamy na kroniki filmowe, sportowe i filmy produkcji polskiej".

W roku 1950 przybędzie zatem 600 kin na wsi, co będzie pierwszym zaspokojeniem „kinowego głodu", w planie zaś 6-letnim projektuje się, by w każdej gminie było kino, czyli że osiągniemy w końcu r. 1955 liczbę ok. 3300 kin wiejskich.

Co zadecydowało o tym, że w liczbie tych 28 kin województwa znalazło się właśnie Bojadło, wybrane na ośrodek uroczystości centralnej w obecności dwóch ministrów, przedstawicieli partii i wycieczki prasowej z Warszawy i Poznania? Drogą eliminacji. Poza tym Bojadło miało za sobą ogromny plus: 18 marca założono tam spółdzielnię produkcyjną II typu. Bojadło poza tym ma elektryczność — czynnik niezbędny przy istnieniu stałego kina, wreszcie Uniwersytet Ludowy, mieszczący się w starym pałacu, wystawionym przez Davida Heinricha Freyhera von Kottwitz...

Bojadło, wieś to ludna i rozległa. Trzeba było wiele zapału Koła Gospodyń Wiejskich, S. P. i członków Ochotniczej Straży Pożarnej, by na wieść o wytypowaniu wsi na uroczyste otwarcie kina, w ciągu paru dni uprzątnąć 24 ulice, by stolarze zdołali w porę zrobić wygodne ławy do kina, by kobiety urządziły salę, by przyozdobiono budynek zielenią i transparentami.

Przed wejściem do kina łapię na chybił-trafił jakiegoś uśmiechniętego mężczyznę: Jak to było z tym urządzeniem kina? Jaki wpływ wywrze ono na życie wsi?

Mężczyzna okazuje się przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej, Adamem Koniecznym. Mówi:

— To kino było do pewnego stopnia nagrodą. Bojadło stoi w powiecie na I miejscu w płatności podatku gruntowego i FOR. To dla nas wielka zdobycz, gdyż odcięci jesteśmy odległością 50 km od miasta powiatowego Zielonogóry. Ale oto i wójt. On was poinformuje najlepiej — i Konieczny, rad z siebie, zniknął z pola widzenia w gęstym tłumie, pulsującym przy wejściu do kina. Uroczystość już się zaczęła i strażacy mieli niemały kłopot z utrzymaniem jakiego takiego porządku.

Mówił minister Kultury i Sztuki Dybowski: „...Rozpoczynamy ofensywę kulturalną i przez udostępnienie kina masom chłopskim. Kto by zaryzykował dawniej otwarcie kina na ubogiej wsi, gdzie zapałkę dzielono na czworo? Film niezawodnie spotęguje w masach chłopskich pragnienie wiedzy i piękna..."

Czy wypowiedź ta nie pokrywa się z listami chłopów?

Potem głos zabrał wicemin. Tkaczow: „...Kino na wsi polskiej to większa świadomość, większe przywiązanie do władzy ludowej, większa świadomość oczekujących nas zadań..."

Rozmowa z wójtem, Karolem Peniukiem, zrazu nie wiązała się. Jako gospodarz zbyt był zaaferowany wszystkim, co się działo, licznymi gośćmi, potem jednak, kiedy drzwi kina zamknęły się, odsapnął. I niemal z miejsca wynikło powiązanie dwóch niezwykle ważnych spraw: kinofikacji wsi i spółdzielczości produkcyjnej. O obu sprawach wójt mówił, choć widać było, że ta druga zaprząta go bardziej. Tam bowiem była rozrywka, tu zaś stawała się rzecz niezwykle ważna, przekształcająca z gruntu dotychczasowy byt wsi polskiej.

Więc zaczęło się od tego, że wójt pochwalił się, iż ludność „drogą szarwarku społecznego" rozbiera gruzy i dochód ze sprzedanej na odbudowę Warszawy cegły przeznacza na wyposażenie sali kinowej. Myśl urządzenia kina we wsi powstała już dawno, w r. 1945. Nie było jednakże ani środków na to, ani kredytów. Dopiero teraz otrzymali aparaturę, produkowaną w Łodzi AP 11 i dopiero teraz przeszkolili na 4-tygodniowym kursie w Poznaniu obsługę... Oto ona:

Dwaj ludzie w granatowych kombinezonach, spoceni, schodzą z góry, by odetchnąć na chwilę świeżym powietrzem. Są to osadnik, były żołnierz z I Armii, kinooperator Rafał Rogowski i kierownik, kasjer, kontroler w jednej osobie — Jan Tyrakowski.

Jeden z nich, „gospodarz" na działce 1-hektarowej, jest palaczem centralnego ogrzewania w szkole podstawowej, drugi, taki sam bogacz, pracuje w Zarządzie Gminy jako woźny. Praca przy kinie będzie dla nich ubocznym źródłem dochodu, a zarazem obniży koszty eksploatacyjne kina. Skok od obsługi C. O. do obsługi precyzyjnego aparatu kinowego jest wielki. Bądź co bądź — jak powiada Rogowski — wykładana była na kursach elektryka, optyka... Mamy jednak wszelkie dane ku temu, by stać się „narodem mechaników". A kinomechanik musi posiadać zacięcie działacza kulturalnego, niekiedy zaś nawet doświadczenie pedagoga. Bo też plan „Filmu Polskiego" przewiduje wyświetlanie dużej ilości filmów dokumentarnych i oświatowych na temat zagadnień, interesujących wieś, jak np. „Ratujcie nasze zdrowie", „Walczymy z pożarami", „Melioracja i osuszanie terenów", „Pszenica hebryda" itd.

Są to jednak, moim zdaniem, raczej dodatki do filmów fabularnych, bo chłop nie tylko chce się uczyć, poznawać nowe. Chce przede wszystkim po tylu, tylu latach zaniedbania mieć wreszcie taką samą rozrywkę kulturalną, jak człowiek z miasta!

Mała Leokadia Kastkówna zapowiada nawet, że przestanie kupować cukierki, by mieć pieniądze na pójście do kina. Dwunastoletni Remigiusz Klementowicz najbardziej lubi filmy wojenne.

— Dla nas, starych — powiada jeden z chłopów, który nie chce, by jego nazwisko było w gazecie — kino nie jest już takie ważne, my już na schyłku, ale dla młodych to oświata i rozrywka. Podoba mi się najbardziej taki film, jak dzisiaj: „Czarci żleb", bo to takie rozrywające... Widziałem „Ostatni etap". On nie pokazuje jeszcze wszystkiego. Ja sam byłem w obozie, to wiem najlepiej.

Wacław Kotwicki z Ponik, zwanych także Pyrnikami, wraz ze swą żoną nie wyglądają na zabiedzonych. Przyjechali na uroczystość w parę koni i teraz czekają na zjawienie się trójki swoich pociech. Kotwicka niecierpliwi się: — Trzeba do dom jechać. Wszyscy z domu — usprawiedliwia się — a piec komu?

Program kin wiejskich przewiduje wyświetlanie większości filmów, które widzimy również w mieście. Z jednym zastrzeżeniem: powinny to być filmy mówione po polsku, napisy bowiem odrywają uwagę i wymagają dużej sprawności w czytaniu.

Stoimy z wójtem i paroma innymi po środku wiejskiej ulicy. Dmie zimny wiatr, niesie tumany pyłu. Wójta to nie przejmuje. Przyzwyczajony — jak powiada — w tej marynarczynie nawet na 25-stopniowym mrozie. Nie czuje zimna, opowiada bowiem o narodzinach spółdzielni:

— Należy do niej 29 gospodarzy spośród 104 we wsi. Uczestnicy spółdzielni — to średniorolni, bo innych zresztą po regulacji gruntów tu nie ma. Mają w tej spółdzielni 207 ha, 29 koni, 12 krów. Praca wspólna już idzie na działkach zapasowych. Zasiano około 30 ha owca i pszenicy. Uczestnicy spółdzielni postawili za warunek, że mam należeć i ja — wójt Peniuk się uśmiecha pod wąsem. Widocznie to zaufanie gospodarzy mu pochlebia. — Patrzyliśmy na jakość, a nie na ilość. Chodziło nam o to, by członków spółdzielni cechowała wspólna myśl, wspólna intencja. I aczkolwiek jest nas tylko 29 — spodziewamy się wielkich wyników. Niełatwo to poszło... — mówi Peniuk i myślami się cofa do tych niedawnych, a tak przecież odległych czasów. — Ileż to trzeba było zwalczać uprzedzeń, złej woli, głupoty ludzkiej, przesądów, zadawnionych przyzwyczajeń, bo to — wiecie — w Bojadle jest przedziwna mieszanka ludzka. Z Podkarpacia (jak ja sam), z Wołynia, z Wileńszczyzny, z woj. łódzkiego, z Wielkopolski i skąd tam jeszcze. Najrozmaitsze sposoby myślenia, gospodarowania... Zrazu to było, jak wiecie, rozmaicie. Ludzie musieli się dopiero poznać, zgrać. A teraz to nawet niczego. Żenią się pomiędzy sobą i to jest najlepszy sposób na zbliżenie.

Śmieje się, śmiejemy się wszyscy. Tymczasem na ulicę wychodzi minister Dybowski i zbliża się do kiosku z książkami, oblężonego przez dzieciarnię. Rozmawia ze sprzedawcami, wypytuje dzieci. Wójt Peniuk chwilę przygląda się temu obrazkowi i zapewne porównuje go z napuszonością wystąpień dygnitarskich owych przedwojennych czasów. I nie byłby dobrym wójtem swojej gminy, gdyby okazji przybycia tak liczebnego zespołu pracy nie zechciał przekuć na swoje potrzeby. Teraz więc mówi nam już nie o spółdzielni produkcyjnej, lecz o całej wsi Bojadło, o całej gminie. O jej bolączkach. Wylicza je punkt po punkcie. A więc:

— Nie mamy ośrodka zdrowia!— woła i przysłuchujący się tej rozmowie gospodarze potakują głowami. — Brak nam od 5 miesięcy położnej. Trzeba ją przywozić z odległości 12 km. W zimie, kiedy się jedzie okrężną drogą, odległość ta wydłuża się do 50 km i człowiek ginie. Na przykład niedawno jednemu tu przy wywózce drzewa pogruchotało nogi i trzeba było kilka godzin czekać na auto-pogotowie. Wyobraźcie sobie tego człowieka... Albo zdarzy się zapalenie opon mózgowych... Obiekty na pomieszczenie ośrodka są zarówno w Bojadle, jak w pobliskiej Klenicy. Gmina daje lokal zupełnie uporządkowany, parę łóżek urządzonych. Weterynarza też brak...

Szmer potakiwania przebiega wśród chłopów. Oto prawdziwa bolączka. Na siebie mogą szczędzić, ale na ratowanie konia, krowy — nigdy.

— Potrzebna jest nam szkoła zawodowa. Do stu osób młodzieży musi obecnie kształcić się poza obrębem gminy. Mamy wprawdzie 7-klasową szkołę, mamy uniwersytet ludowy, lecz to nas nie ratuje. Nam potrzebna dobra szkoła rolnicza. Mamy już kamienie, cegłę, piasek, szuter, ale brak cementu, wapna, drzewa. Żebyśmy mieli materiał — tu rzucił wójt bystre spojrzenie w kierunku ministra — w 2 miesiące zrobiliśmy sami szkołę...

JERZY K. MACIEJEWSKI

JAN KOPROWSKI

NA 1 MAJA PÓJDZIEMY RAZEM

Od chwili, gdy zaczęła się realizować w codziennej praktyce idea sojuszu robotniczo-chłopskiego, gdy pierwsze ekipy fabryczne wyruszyły na wieś z pomocą dla chłopów, ci ostatni poczęli pojmować, że dzisiaj miasto to nie wróg, że robotnik fabryczny to sprzymierzeniec i przyjaciel. Brygady łączności, przyjeżdżające po tygodniu wytężonej pracy przy warsztacie w dzień wolny od zajęć (najczęściej w niedzielę), utwierdziły mało i średniorolnych chłopów w przekonaniu, że sojusz robotniczo - chłopski to nie mamidło, lecz szczera, realna, oparta na świadomości klasowej, pomoc miasta dla wsi.

Dopiero kontakt z robotnikami — powiedział kierownik ośrodka maszynowego w Piastowie Florian Kozik — nauczył mnie wielu rzeczy, których przedtem nie widziałem i nie wiedziałem. Gdyśmy zakładali nasz ośrodek, potrzebne nam były maszyny i różne urządzenia. Zbieraliśmy po wsi, co się dało i co kto przekazał. I wiecie, bogacze także oddawali. Jeden nawet, Zapalski, oddał siewnik. Ja tam — mówił — nie jestem temu przeciwny. O, macie, przekazuję wam ten siewnik dla ośrodka maszynowego. Dopiero, gdy przyjechali ślusarze z fabryki i obejrzeli siewnik dokładnie, to się okazało, że jest on całkowicie zniszczony i do niczego niezdatny. Od kogo ten siewnik — zapytali. Powiedziałem im i pojechaliśmy wtedy do Zapalskiego razem z nimi. I co się pokazało? Ano, że Zapalski miał dwa siewniki, ale ten dobry zatrzymał dla siebie. A potem rozgadywał po wsi: „widzicie, jakie tam oni graty mają w tym ośrodku. A państwo niby, rząd na nich łoży. Bierzcie lepiej ode mnie maszyny. Ja wam wypożyczę chętnie. Po co macie tam chodzić do onego ośrodka." Florian Kozik na wspomnienie zacisnął pięści.

Nas — powiedział wówczas Korczyk, starszy ślusarz w brygadzie — gnębił kapitalista w przemyśle, ale skończyły się już jego rządy. Was gnębią jeszcze ci wiejscy bogacze, kułacy. Musicie ich demaskować na każdym kroku i zwalczać. My wam w tym pomożemy

Pomoc miasta dla wsi, realizowana przez brygady robotnicze, która w początkach miała charakter dorywczy i niestały, przybiera dziś formy masowe i obejmuje cały kraj.

W samym tylko województwie wrocławskim działa ponad 250 brygad remontowych nie licząc grup świetlicowych i zespołów amatorskich, które niosą na wieś nową socjalistyczną sztukę i kulturę.

Posłuchajmy, co na ten temat mówi małorolny chłop Wziątek z Górzyńca:

— Przyjechali tu, wiecie, do nas robotnicy z fabryk z teatrem. Grali, śpiewali, mówili piękne wiersze. Bardzo nam się to wszystko spodobało. A po przedstawieniu zrobiliśmy wspólną naradę. Bo my też chcieliśmy urządzić taki teatr. I co powiecie? Powstanie i u nas zespół. Oni nam pomogą. A jak się nauczymy, to pojedziemy do nich do miasta, pokazać, co umiemy. Bo teraz to już tak musi być zawsze: miasto i wieś to jedno. Dosyć nas już te psubraty mikołajczykowskie naswarzyły między sobą.

Na terenie Dolnego Śląska proces pogłębiania się sojuszu robotniczo-chłopskiego postępuje szybko naprzód. Oczywiście sojusz ten stoi ością w gardle kapitalistom i kułakom. Nie mogą się oni z tym pogodzić, że władza nad biedniakami wysunęła im się z rąk, powiedzmy lepiej: została im wytrącona przez uświadomioną klasę robotniczą miast i wsi.

Akcja łączności, która zaczęła się od pomocy technicznej dla wsi, rozszerzyła się i na inne tereny życia. Dziś rola brygady remontowej nie ogranicza się do naprawy uszkodzonych maszyn lub źle funkcjonujących narzędzi rolniczych. Po pracy robotnicy zasiadają wraz z chłopami w wiejskiej świetlicy, rozmawiają na bieżące tematy, dyskutują. Rośnie i umacnia się światopogląd socjalistyczny.

Chłopi nie poprzestają na podziękowaniach za pomoc techniczna. Oni chcą wiedzieć, co się dzieje w mieście, w fabryce, na dalekim świecie. Ufają robotnikom, wierzą im, nie widzą miedzy soba różnic.. widzą wspólny interes klasowy. Toteż coraz trudniej spotkać dziś chłopa, któryby nie znał wydarzeń zachodzących na arenie międzynarodowej lub — co znacznie ważniejsze — nie orientował się w celach politycznych narodów świata.

Oto, co np. mówi na ten temat średniorolny chłop Bączek z Krępnowa:

— Cała ta sprawa jest jasna jak słońce. Po jednej stronie obóz pokoju: Związek Radziecki, Polska i kraje demokracji ludowej, a po drugiej: krwawiciele — Ameryka, Anglia i ci, co im się poddali.

A czego chcą ci imperialiści? A toż każde dziecko wie: wojny. Oni organizują szpiegostwo, podżegają narody przeciwko sobie, szczują, im nie w smak, że my tu pragniemy roboty, pokoju i lepszego szczęścia dla człowieka.

Ale i tam lud się buntuje. Widzicie, w takiej Francji na ten przykład robotnicy nie chcieli wyładowywać armat przysłanych na okrętach z Ameryki. Rząd ich zamyka do więzienia, ale oni się buntują, walczą, przyjdzie taka chwila, że zwyciężą. Bo lud chce pokoju, swobody. Do wojny prą tylko brzuchaci kapitaliści, mordercy, handlarze, którzy robią na wojnie brzydkie i grube interesy. Oni nie stoją o robotników, ani o chłopów, tylko o swoje kieszenie. Ale ich garstka a nas siła. I co dzień nas więcej. Robotników i chłopów więcej na świecie niż tych katów.

Biedny chłop pragnie nade wszystko pokoju. Szczęście i dobrobyt wsi widzi on tylko w ciągłej nie mąconej zawieruchami wojennymi pracy, w stałym postępie przemysłowym i gospodarczym.

Chłopów tak rozumujących jest coraz więcej. I w tym tkwi wielkie niezaprzeczalne zwycięstwo władzy ludowej.

— My na 1 Maja — powiedział Nowak, jeden z takich właśnie chłopów — będziemy maszerowali tak samo jak robotnicy. Bo to także nasze święto. Niech tam ci zza oceanu widzą naszą potęgę i niech im skóra cierpnie na grzbiecie.

W tym dniu pierwszomajowym, towarzyszu Nowak, pójdziemy wszyscy manifestować swoją wolę pokoju i siłę idei socjalistycznej: i robotnicy, i chłopi, i pisarze.

Jan Koprowski

MIECZYSŁAW KWIATEK

AWANS MŁODZIEŻY ZE SZCZYTNIK

(fragment reportażu)

Szczytniki to wieś biedoty, mało i średniorolnych chłopów. Przed wojną w 1939 r., czterech nas tylko ukończyło 7 oddziałów szkoły powszechnej. Byli to synowie małorolnych chłopów, mianowicie: Dzik Stanisław, Socha Jan, oraz dwóch braci Kwiatków.

Reszta zadowoliła się ukończeniem 4 oddziałów, co w rezultacie znaczyło umieć się podpisać i to jeszcze nie zawsze.

Tak to przedstawiało się w 1939 r. młode pokolenie chłopów wsi Szczytniki, wsi, mającej nawet przydomek „polityczna".

Cóż dzieje się w Szczytnikach po wojnie, jakie zaszły tu zmiany, co dzieje się z młodzieżą?

Otóż zaszły tu zmiany ogromne. Janek Socha ukończył jeszcze podczas wojny szkołę oficerską, awansując szybko na porucznika. Czynią to również: Kwiatek Czesław i Dzik Janek. Po raz pierwszy w historii Szczytnik na ramionach chłopskich synów zabłysły szlify oficerskie. Synowie wsi członkowie Batalionów Chłopskich stanęli w szeregach odrodzonego wojska, by stać na straży zdobyczy państwa ludowego.

— Gdzie macie swego Władka? — pytam spotkanego na drodze Radosza. — Władek? hm! cóż to nie wiesz, przecież on studiuje na uniwersytecie w Toruniu i jest już na drugim roku prawa.

— Tak — powiada uradowany Radosz — Władek chce zostać prawnikiem. Czy on kiedy choć marzył o tym, zresztą, Ty wiesz przecież najlepiej, że nie wiele sobie obaj rokowaliście na przyszłość, kiedy to jeszcze razem pasaliście krowy. Tak, tak, czasy się zmieniają! — No, ale Tadek to chyba w domu, pytam? — Ale, skądże, jak poszedł do wojska, tak i nie wrócił. — A co, może jakie nieszczęście się stało — pytam zdziwiony?

— Nie — śmieje się Radosz, został na zawodowego w wojsku! Ostatnio był nawet na urlopie, dobrze ubrany i zadowolony.

Powiada, że bardzo dobrze zrobił zostając w wojsku. Obecnie, jako zawodowy podoficer pracuje w Warszawie. A no jakoś ta teraz dzieci dają sobie radę i ojcu jeszcze pomogą.

— A cóż myślicie robić z Mietkiem? — Mietek pójdzie do gimnazjum. Z nim to już będzie łatwiej, bo mu chłopaki pomogą.

— No dobrze — pyta Radosz — przecież i ty jesteś w szkołach. Czemże myślisz zostać? — Ja? Chodzę obecnie na Akademię Nauk Politycznych. — Tak — powiada Radosz — pamiętam, jak przed wojną, kiedy chodziłeś jeszcze do szkoły powszechnej do Skrobaczowa, nauczycielka chciała Cię ze szkoły wyrzucić za to, żeś zaglądał na zebrania Stronnictwa Ludowego. A popatrz dziś, jaka to różnica — niebo i ziemia. — A gdzież jest teraz twój brat Czesław, przedtem wiem, że pracował w gminie, a już kilka miesięcy jak wyjechał. Szkoda, bo on zawsze szybko chłopom załatwiał.

— Czesław jest teraz w Warszawie, pracuje w Spółdzielni mięsnej w charakterze buchaltera.

Idąc po drodze spotykam Kałużę, który, zadowolony ze spotkania, zaprasza mnie do mieszkania. W rozmowie zapytuję go o syna Edka. — Edek — powiada — jest przecież w Łodzi, chodzi do liceum. Jest okazja, a chce się uczyć, niech się uczy, bo ja nie mogłem, a wiem, co daje nauka człowiekowi w życiu!

Kałuża, to stary działacz ludowy. Pamiętam jeszcze, jak byłem mały, odbywały się u niego zebrania organizacyjne SL, gdzie często zachodziłem, za co omal nie wyrzucono mnie ze szkoły.

Duże zmiany zaszły wszędzie w ciągu tych paru lat. Weźmy nasze Szczytniki. Ileż to młodzieży otwarło sobie drogę na szeroki świat. Wszystko się uczy. Ci, którzy dorośli już wcześniej i na naukę za późno, powyjeżdżali na zachód do fabryk, gdzie pracują i dobrze im się powodzi. Wiadomo — wszyscy na wsi nie mogą siedzieć, zresztą, nie chcą.

— Na wsi — powiada Kałuża — zrobiło się już bardzo duszno, za dużo było ludzi, bo pomyśl tylko, kto przed wojną z naszych Szczytnik do miasta wyjechał, do szkoły, czy do fabryki, nikt! A dziś? Kolosalna różnica!

— A którzy, to wyjechali do fabryk — pytam, bo już przecież dość długo tu nie byłem. — Stefka Bożkowa, Stefka Sala, Karol Taraska, Gienka Brewińska, Bronek Dybek— wylicza Kałuża. Są to córki i synowie małorolnych chłopów. Po krótkiej i serdecznej rozmowie z Kałużą powracam zamyślony drogą.

Rzeczywiście — wielkie zaszły tu zmiany, myślę. Ileż to pokoleń czekało w biedzie i nędzy długie wieki na to co zaszło obecnie w Szczytnikach.

— I nam — myślę — przypadło w udziale być spadkobiercami tej wielkiej idei, tego potężnego kroku naprzód w życiu postępowej ludzkości. Runął więc przez tyle wieków budowany, „ mur chiński" mający trzymać wieś poza nawiasem życia i postępu. Obaliła go klasa robotnicza.

Mieczysław Kwiatek

MARIANNA KOŚCIEŃSKA

BARCICE DAWNIEJ I DZIŚ

Wieś Barcice w powiecie nowosądeckim miała przed wojną około 50 proc. elementu robotniczego, pracującego po większej części w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu, inni w kamieniołomach i przy budowie dróg Stąd w Barcicach organizacja robotnicza, stąd przenikanie do wsi prasy lewicowej, stąd wspólna walka robotników barcikowskich i chłopów w okresie strajków rolnych.

Obecnie w oparciu o własne doświadczenie Barciczanie dobrze rozumieją istotę sojuszu robotniczo-chłopskiego. Jak wczoraj walczyli z sanacyjnym wyzyskiem, tak dziś w oparciu o robotników tworzą i umacniają swoją pozycję gospodarczą — przeciwko zakusom bogatego wyzyskiwacza.

Dzięki przemianom jakie nastąpiły w umysłowości Barciczan przez wpływy robotników analfabetyzm jest tam w stanie szczątkowym. W okresie rejestracji spisano zaledwie 19 osób — i to starszej generacji. Jak na 1500 mieszkańców to liczba mikroskopijna w przeciwieństwie do oddalonej o parę kilometrów Woli Krogulskiej, gdzie znajduje się 80 proc. analfabetów. Barcickich analfabetów wyrejestrowano bez ich osobistego zgłaszania, gdyż są znani tak, jak na zapóźnionych oświatowo terenach znani są ludzie piśmienni.

Obecnie na froncie oświatowo-kulturalnym Barcice świecą przykładem: prawie w każdym domu znajduje się radio zwane popularnie „kołchoźnikiem", mieszkańcy prenumerują indywidualnie dzienniki i tygodniki, jak również wykupują od listonosza wszystkie gazety — aż do ostatniego numeru. Czytelnictwo rozwija się tu również pomyślnie. Na terenie szkoły znajduje się biblioteka, z której korzysta nie tylko młodzież ale i starsi. Zdolniejsza młodzież uczęszcza do szkół średnich i bierze czynny udział w organizacjach ZMP. Ale największą chlubą Barciczan jest chyba boisko sportowe. Na duże boisko patrzą jak urzeczeni. Urzeczeni — bo wczoraj oglądali biegaczy sportowych tylko w kolorowej gazecie. Toteż ich oczy patrzą blaskiem — a wnętrze gryzie jeszcze nieugaszony żar chłopskiej krzywdy. Stary chłop zapatrzony w to przestrzenne boisko opowiada tak. — Ta Polska to jest po prawdzie robotnicza. Bo choćby i takie dzieci — gonią se po boisku, kopią piłkę jak nigdy bez tamte roki. I ludzie muszą przywyknąć do tego, że dziecko nie jest stworzone na to, żeby od roboty ledwie na oczy patrzało, ale żeby przy nauce i zabawie miało radość na wnętrzu to i przy robocie bedzie miało łatwiej — tu westchnął i ciągnął dalej: — Ja to dobrze pojmuję, bom za dziecka miał ciężkie życie. Ojciec mi odumarli kiej miałem 6 roków. Przyszedł ojczym — i nie bijał mnie. O o o, on mnie nie bijał! — podniósł głos nabrzmiały gorzką ironią — tego nie mogę powiedzieć, żeby mnie bijał — bo z kijem do mnie nie wychodził — roześmiał się i wyjaśnił, kładąc nacisk na każde słowo: — Ino z podkutym obcasem! — Zamyślony nad swoją młodością wrócił za chwilę do toku opowieści: — kiej bym se ino przy robocie stęknoł, chwytał mnie za uszy, podnosił w górę i obcasem dawał kopniaka. Wtedy miałem dość. Nawet tego stęknięcia mi się odniechciało. Toteż choć chodziłem do szkoły 7 roków nie nauczyłem się nic. Bo to szkolne uczenie to było takie: od Bożego Narodzenia chodziłem do Wielkanocnych Świąt — i to tylko jak, kiej było w chałupie mniej roboty. To i nie dziwota, żem niczego nie pojął i niczego się nie nauczył. — Wykonując okrągły ruch niby siewca, zagarnął boisko ręką i dokończył z moca. — Dlatego — to Polska Robotnicza to jest — po prawdzie robotnicza.

Kościeńska Marianna

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 812-71 Tel Redakcji 8-00 61 do 6. wewnętrzny 23 1 76.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś"
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik" Marszałkowska 3/5.
B-101437